



**Taternik**

**3**

1970

## SPIS TREŚCI

Z głębin Tatr po rekord świata ( <i>B. Uchmański</i> ) . . . . .	97
Stawki wśród tatrzańskich turni ( <i>J. Nyka</i> ) . . . . .	101
Wyprawa w Karakorum, 1969 ( <i>R. Szafirski</i> ) . . . . .	103
Na lodowcu Chogolungma ( <i>A. Kuś</i> ) . . . . .	109
Zwycięstwo i przegrana ( <i>A. Heinrich</i> ) . . . . .	112
Wypadek w Jaskini nad Kotlinami ( <i>Ch. Parma</i> ) . . . . .	116
Wnioski z pierwszej akcji GOPR ( <i>K. Salyga</i> ) . . . . .	117
Czy Szywała mógłby żyć? ( <i>B. Uchmański</i> ) . . . . .	119
Jedyna rada — federacja ( <i>B. Koisar</i> ) . . . . .	120
Tragedia pod Huascaraniem ( <i>J. Jagodziński</i> ) . . . . .	122
Górskie lato 1970 ( <i>B. Czaykowska</i> ) . . . . .	124
Kaukaz — lipiec 1970 ( <i>S. Worwa</i> ) . . . . .	125
Trawersowanie Bzeducha ( <i>H. Piecuch</i> ) . . . . .	127
Na najwyższym szczycie Kaukazu ( <i>A. Laptas</i> ) . . . . .	128
Na Kurmyczy — w kobiecej dwójce ( <i>Z. Gerlach</i> ) . . . . .	129
Na pożegnanie — Uszba ( <i>R. Szafirski</i> ) . . . . .	129
Zgrupowanie w ENSA 1969 ( <i>T. Laukajtys</i> ) . . . . .	130
Nowe drogi w górach Europy . . . . .	131
Różne góry, różne lata . . . . .	133
Wyprawy w góry egzotyczne . . . . .	134
Z żalobnej karty . . . . .	136
Wypadki i ratownictwo . . . . .	140
Sprzęt i ekwipunek . . . . .	141
Z piśmiennictwa . . . . .	142
Notatki i ciekawostki . . . . .	143
W skrócie . . . . .	123

Na okładce: Główny wierzchołek Malubitingu (7453 m) oraz Mały Malubiting — u ich podnoży rozległe plateau. Polską marszrutę w tym terenie pokazuje rysunek na s. 106.

Fot. Andrzej Kuś

Zdjęcie obok: W Jaskini Snieżnej — na głębokości 280 m.

Fot. Bernard Uchmański





## Z głębin Tatr po rekord świata

BERNARD UCHMAŃSKI

Pierwszy samodzielny, czysto polski, speleologiczny rekord świata! Ustanowiła go na przełomie grudnia 1968 i stycznia 1969 r. w Jaskini Snieżnej siedmioosobowa wyprawa zorganizowana przez Sekcję Grotolazów Akademickiego Klubu Turystycznego przy Radzie Okręgowej ZSP we Wrocławiu. Wyprawa dokonała pierwszego „czystego” wyjścia z dna Jaskini Snieżnej (głębokość 640 m) na powierzchnię. Przez „czyste” wyjście rozumie się pokonanie całej jaskini od dna do otworu — bez korzystania z lin i drabinek, rozwieszanych w czasie schodzenia w głąb przy przejściu zwykłym. Liny te i drabinki, pozostawiane na trudniejszych odcinkach (studnie, wodospady, progi itp.), we wszystkich poprzednich przejściach Snieżnej w sposób kapitalny ułatwiały drogę powrotną do góry. Nasza wyprawa postawiła sobie za cel wyjście bez użycia tych ułatwień; wszystkie one były uprzednio zdejmowane. Wychodziliśmy przez „wyczyszczoną” jaskinię, pokonując od dołu wszystkie jej spiętrzenia i inne przeszkody w ich stanie pierwotnym, korzystając tylko z naturalnej rzeźby skały.

Ekipa miała skład następujący: Roman Galar, Jerzy Masełko, Andrzej Ostromecki, Kazimierz Piotrowski, Norbert Pospieszny, Marek Trzeciakowski i Bernard Uchmański (kierownik wyprawy). Wszyscy są członkami Klubu Wysokogórskiego.

Wyjście klasyczne z dna Snieżnej i pokonanie 640 m różnicy poziomów między dnem i otworem wlotowym jest nowym rekordem świata. Poprzedni rekord należał do czwórki speleologów francuskich, członków Club

Alpin Française z Grenoble, którzy w listopadzie 1966 r. w Jaskini Cuves de Sassenage uzyskali wynik 400 m. Przedtem rekord świata należał do speleologów paryskich i wynosił 300 m.

### Dlaczego właśnie tak?

Odpowiedź na pytanie, które mi ostatnio stawiano, dlaczego w ten sposób wychodziliśmy ze Snieżnej, jest zarazem prosta i trudna, podobna do odpowiedzi na pytanie, dlaczego się wspinamy? Chyba nie ma potrzeby wdawać się w mgliste ideologie i uzasadnienia. Byłem kilkakrotnie na dnie Snieżnej (w tym także w pierwszym zejściu), brałem udział w wielu wyprawach eksploracyjnych i nieeksploracyjnych do tej jaskini, niektóre jej fragmenty przechodziłem po kilkadziesiąt razy. Problem wyjścia klasycznego z dna na powierzchnię postawiła właściwie sama jaskinia swoją obecnością, samym faktem swego istnienia. Z zamiarem podjęcia próby „czystego” wyjścia ze Snieżnej nosiłem się od kilku lat. Zdobyte wypraw eksploracyjnych, jakie odbyłem do Snieżnej ze Speleoklubem Warszawskim PTTK, szczególnie w latach 1963—1964 („Taternik” 3—4/1964), okazały się wielce pomocne przy realizacji tego zamierzenia. Dopiero we wrześniu 1967 r., kiedy byłem w Belgii na Międzynarodowym Kolokwium Speleologicznym CISNA 67 („Taternik” 1/1968 s. 34), zorientowałem się, że speleolodzy zachodnioeuropejscy prowadzą notowania rekordów światowych w „czystym” pokonywaniu jaskiń o ukształtowaniu pionowym.



Między naszym zamierzeniem a zjawiskami zachodzącymi w alpinizmie powierzchniowym istnieją wyraźne analogie. W górach wysokich najpierw celem było pierwsze wejście na wierzchołek, zdobycie szczytu najłatwiejszą drogą. Potem dopiero zaczął się okres wyszukiwania innych dróg na ten sam szczyt, już nie najłatwiejszych. Podobnie jest w wielkich jaskiniach o ukształtowaniu pionowym. Na etapie eksploracji głównym celem jest osiągnięcie dna i oczywiście powrót na powierzchnię w najłatwiejszy sposób. Następny etap stanowi dokonywanie powtórnych zejść na dno i powrotów na powierzchnię z wykorzystaniem ułatwień, przy czym celem staje się przejście jaskini w możliwie najlepszym czasie i stylu. Jaskinia Śnieżna miała za sobą oba te etapy. Następnym z kolei stadium jest, jak mi się wydaje, właśnie dokonanie przejścia jaskini od dna do otworu wlotowego z pokonywaniem progów i studni od dołu, bez korzystania z ułatwień, które są przed rozpoczęciem wyjścia zdejmowane.

Wyprawa trwała od 28 grudnia 1968 do 5 stycznia 1969 r. Licząc od wymarszu z bazy na Groniku do powrotu byliśmy w akcji blisko 200 godzin. Pod ziemią przebywaliśmy nieprzerwanie przez 8 dni i tyleż nocy, łącznie 186 godzin. W tym czasie grupa wspinała się kładła się spać tylko trzy razy. Pierwsza część wyprawy, zejście od wlotu do dna, z zakładaniem biwaku, rekonensansami i transportem ok. 200 kg bagażu, zajęła 55 godzin. Od momentu osiągnięcia dna (tj. syfonu końcowego) do wyjścia na powierzchnię upłynęło 131 godzin, w tym samej wspinaczki 85 godzin. Cała akcja pod ziemią (bez biwaków) trwała ok. 120 godzin. Dwie najdłuższe nieprzerwane akcje w jaskini zajęły po ok. 40 godzin każda. Na biwakach spędziliśmy łącznie 66 godzin, z czego na sen przypadło 38 godzin.

Trudności wspinaczkowe: klasyczne — duże odcinki VI, hakowe — H3 i H4. Stosowano techniki specjalne: nitowanie, wahadła, wahadła z pająkiem, lasso. W partiach przyotworowych użyto 4-metrowego masztu drewnianego, co nie miało jednak większego znaczenia dla całego przejścia. Suma odcinków przewieszonych wyniosła ok. 150 m. Na kilku odcinkach występował całkowity brak szczytów skalnych. Była to jedna z najcięższych wypraw, jeśli chodzi o ilość i intensywność wysiłku wyprawowego, w historii polskiej speleologii, a według mego rozeznania, również na świecie.\*

Przedsięwzięcie nasze rozpatrywane tylko w kategoriach wspinaczkowych, pod względem sumy górnych trudności odpowiada przejściu kilku ekstremalnie trudnych tatrzańskich dróg wspinaczkowych razem wziętych. Dorównuje niektórym największym zdobyczom alpinizmu akrobatycznego, wiele z nich być może przewyższając. O rozmiarach

wysiłku włożonego w wyprawę świadczy fakt, że wszyscy uczestnicy ekspedycji stracili na wadze po 5—6 kg. Przejście jaskini od dna do otworu ma także znaczenie z punktu widzenia ratownictwa jaskiniowego, dowiodło bowiem, że w razie niespodziewanego odcięcia w jaskini jest w ogóle możliwe wydostanie się na powierzchnię własnymi siłami wyprawy.

## Etap I — zejście na dno

Przygotowania do wyprawy rozpoczęły się jesienią 1968 r., kiedy to Katarzyna Marucha, Andrzej Ostromęcki i Kazimierz Piotrowski specjalnie przyjechali z Wrocławia w Tatry, aby oznakować i zamknąć otwór wejściowy Jaskini Śnieżnej. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że w czasie zimowych wypraw dużo kłopotów sprawia odnalezienie i odkopanie wlotu pod zaspą dochodzącą tu do 7 m grubości, a następnie żmudne przebranie się przez masy nawianego do wnętrza jaskini śniegu, który potrafił zamknąć niemal cały przekrój wstępnego korytarza na odcinku kilkudziesięciu metrów.

Bezpośrednio po świętach Bożego Narodzenia uczestnicy wyprawy zebrali się w bazie w pobliżu wylotu Doliny Małej Łąki, udostępnionej nam przez leśniczego E. Dziadonia. 27 grudnia, z pomocą kilku kolegów z wrocławskiej SG AKT przetrzerowaliśmy w głębokim śniegu szlak podejściowy do Kotła Niżniej Świstówki i przetransportowaliśmy część sprzętu w rejon Polany. Następnego dnia, w sobotę 28 grudnia z rana, wyruszyliśmy z bazy do jaskini. Łącznie z kolegami pomagającymi nam w transporcie bagażu, karawana liczyła 17 osób. Mieliśmy do pokonania ok. 800 m różnicy poziomów na dystansie prawie 6 km. Od Niżniej Świstówki zaczęło się torowanie w śniegu, miejscami po szyję. Na progu oddzielającym oba kotły Świstówki musieliśmy założyć poręczówkę. Dzięki oznakowaniu z listopada, otwór udało się stosunkowo szybko odkopać. Do jaskini wchodziliśmy o zmroku, mając za sobą ciężkie podejście przy silnym wietrze zacinającym śniegiem i 20-stopniowym mrozie. Szczególnie trudne były chwile bezpośrednio przed wejściem do jaskini, kiedy musieliśmy się odpowiednio ubrać i przygotować sprzęt — pod ostrzałem lawinek pyłowych.

Zamknięcie otworu jesienią zdało egzamin i wstępny korytarz był wolny od świeżego śniegu. Natomiast stary śnieg, zalegający stromy korytarz na pierwszych 100 metrach, w większości zamienił się w szczerzy lód. Co więcej, ze zdziwieniem zauważyłem, że w zamkniętej od 2 miesięcy jaskini zmienił się znacznie mikroklimat: niezwykle było jej oziębienie — od kilkunastu stopni poniżej zera w strudze przewiewu w strefie przyotworowej, do kilku stopni poniżej zera głębiej. Ze ścian Wielkiej Studni wiszały potężne sople grubości 30 cm, jezioro w studni było zamrożone. Niżej, po Płytkowych Progach spływały olbrzymie lodospady z czyste-

\* Z dość dużą odpowiedzialnością można stwierdzić, że było to największe na świecie dokonanie w zakresie wspinaczki w jaskiniach. (Red.)



go lodu, którego warstwa dochodziła do kilkunastu centymetrów. Z pewną obawą o losy naszego powrotu patrzyłem na to zaskakujące oblodzenie, które skończyło się dopiero na głębokości ok. 200 m. Od tego poziomu temperatura była już dodatnia, nieco powyżej zera.

W godzinach wieczornych cała nasza siódemka wraz z worami, których wypadło po dwa na głowę, znalazła się na dnie Wielkiej Studni (głębokość 130 m), gdzie zjedliśmy pierwszy od śniadania gorący posiłek i zapakowaliśmy sprzęt. Ok. 3 w nocy poszliśmy dalej, docierając do tzw. pierwszego biwaku (-260 m).

Po solidnym wypoczynku w śpiworach i na materacach, obladowani już tylko 7 worami (wyposażenie biwakowe zostawiliśmy na miejscu) wyruszyliśmy 30 grudnia o godz. 8 rano w dół jaskini, robiąc jeszcze po drodze parę rekonesansów. Nad ostatnim dużym progiem na głębokości 550 m nastąpiło przegrupowanie sił. Rozdzieliliśmy się na dwa zespoły: czteroosobowy wspinający się i trzyosobowy zdejmujący ubezpieczenia. Ustaliliśmy następujący plan działania: mniejszy zespół będzie się posuwał do góry jako pierwszy, korzystając z porozwieszanych lin i dra-

biniek, które będzie jednak ściągał i zdejmował, pozostawiając za sobą czystą jaskinię. Zespół wspinaczkowy będzie postępował w pewnym oddaleniu za zespołem pierwszym, mając przed sobą jaskinię wolną od wszelkich sztucznych ułatwień i pokonując wszystkie spiętrzenia i przeszkody z pomocą wspinaczki. Trójka idąca przodem będzie mogła być jednocześnie pomyślana jako zabezpieczenie na wypadek jakiegokolwiek awarii. Chcę tu od razu powiedzieć, że mimo podziału na dwa zespoły, pomyślne zrealizowanie celu wyprawy jest udziałem naszej siedmioosobowej grupy jako całości.

Po omówieniu zadań zespół wspinaczkowy zjechał z progu i po przebyciu końcowego odcinka znalazł się na dnie Jaskini Śnieżnej — o północy z 30 na 31 grudnia 1968 r. Tu nastąpiło uroczyste wypuszczenie do jeziora syfonu końcowego nadmuchiwanej kaczuszki, którą Romek Galar przyniósł za pazuchą w tajemnicy przed nami.

## Etap II — od dna w górę

Zejdźcie na dno, które samo w sobie jest już poważną wyprawą, dla nas było zaledwie początkiem właściwych trudów. Kiedy

Wyprawa po rekord świata — Jerzy Maselko i Norbert Pospieszny przy posiłku na dnie Wielkiej Studni w Jaskini Śnieżnej. Fot. Marek Trzeciakowski





znaleźliśmy się na dnie czuliśmy się jak po zakończeniu dalekiego podejścia pod ścianę, na którą mamy zaraz zacząć się wspinać. Nie odbiegało to od rzeczywistości: nad nami piętrzyło się 640 m stromej jaskini, złożonej z szeregu uskóków, progów, studni i wodospadów. W tej chwili najbardziej obawialiśmy się bliskiego potężnego progu o wysokości około pół setki metrów.

Lekko przejęci i podnieceni rozpoczynamy odwrót z dna, już w stronę powierzchni. Zaraz na początku wypełniająca wąski korytarz dość głęboka woda zmusza nas do wymyślnej zapieraczki, w której rozpostarte między dwiema ścianami ciało ułożone jest poziomo. Drogę zagradza nam teraz zawalisko. Mamy do wyboru dwa warianty: albo próbę przejścia pod zawaliskiem, albo obejście górą, połączone z forsowaniem 10-metrowej pionowej szczeliny o ścianach oblepionych błotem (w czasie powodzi jaskinia wypełnia się wodą już od głębokości 500 m, stąd powłoka błotna na ścianach tego odcinka). Wybieramy możliwość pierwszą. Andrzej Ostromięcki wkłada jedynie, jakie mamy, ubranie wodoszczelne i wchodzi pod zawalisko. Pełznąć w potoku, przeciska się w pozycji leżącej pod nawieszającymi się wantami, woda przedostaje mu się pod gumowe ubranie, ale po kilkunastu minutach z jego niewyraźnych okrzyków domyślamy się, że jest szczęśliwie po drugiej stronie. W więc Andrzej zrobił dobry początek, zaoszczędzamy sobie sporo czasu nie musząc się wspinać szczeliną.

Przez parę mniejszych progów, szeroką zapieraczką wysoko nad jeziorkiem i ciasnymi szczelinami podchodzimy pod duży próg. Uważamy go za najważniejszą trudność jaskini, choćby ze względu na duże oddalenie od wlotu. Podstawa progu znajduje się na głębokości prawie 600 m. Kiedy asekurowany przez Kazika Piotrowskiego zaczynam się wspinać na próg, zaraz po paru metrach muszę wejść w wodospad. Trochę przemoczony cofam się i proszę o podanie mi gumowej bluzy z kapturem. Uwieram się i wchodzię powtórnie w rwący prąd wody. Mimo dodatkowej ochrony jestem po chwili dokładnie mokry. Muszę oświetlać czołówką drogę, więc podnoszę twarz do góry, wtedy twarde strugi wody spadają mi z wysoka na oczy, oślepiają, wnikają pod ubranie i zimnymi strumieniami spływają po piersiach i niżej aż do butów. Osobne dopływy mam z rękawów, bo ręce uniesione szukają chwytów nad głową. Prócz działania nawilżającego moje ubranie i chłodzącego (temperatura wody ok. 2°), wodospad działa też mechanicznie, spychając mnie ze skały. Mam wbity jeden hak. Trudności duże. Zastanawiam się, czy zacząć „ślusarkę“, zmusną wspinaczkę podciągową. To zmusi mnie do długotrwałego przebywania w wodospadzie. Wiem, jak szybko wtedy traci się ciepło i sprawność. Całe przedsięwzięcie może załamać się już tutaj. Wybieram więc wspinaczkę klasyczną. Takich decyzji nie podejmuje się pochopnie, ale te-

raz czuję się dość mocny, aby ją podjąć. Wspinam się pod prąd wodospadu. Szybki ruch dobroczynnie rozgrzewa. W górnej części progu mogę już uciec trochę w bok od wody, całe szczęście, bo tu muszę jednak iść podciągami na wątych kołeczkach, hakach i nitach. Zapal — właściwie entuzjazm, ale mieszczący się w pełni w dyscyplinie taternickich reguł gry, który ogarnął mnie w momencie podejmowania decyzji o sposobie wspinaczki, niesie mnie na wysokiej fali. Sprawdzam na sobie słuszność powiedzenia Marcela Prousta: *Voir claire dans le ravissement* — „widzieć jasno w zachwyceniu”. 53-metrowy w miejscu forsowania próg, w znacznej części przewieszony, zostaje pokonany bez jednego zahamowania. Pierwszy wyciąg pełny i dwa krótsze.

Pomyślne zakończenie bojów na pierwszej wielkiej przeszkodzie dodaje skrzydeł całemu zespołowi. Do biwaku rozwijamy tempo tak duże, jakbyśmy szli jaskinią obwieszoną linami i drabinkami. Po prostu polykamy kolejne dość liczne, wcale niełatwe progi i wodospady. Na biwaku, o północy z roku 1968 na 1969, wznosimy toast noworoczny siedmioma czekoladkami z rumem. Tylko Romek zasypia nie doczekawszy toasty. Marek Trzeciakowski, nasz niezawodny mistrz kulinarny, podejmuje nas świetną zupką rybną na suszonych śliwkach.

Kolejny przewieszony próg doprowadza pod dwa Płytkowe Progi liczące 70 i 50 metrów wysokości. Tu jest elegancka wspinaczka klasyczna. Od sali trójkątnej zaczyna się lód. Do piarżystej platformy prowadzi Romek, wyżej — przez lodospady — pierwszy idzie Kazik. Potem solidną szkołę w lodzie daje mi próg tuż pod Wielką Studnią.

Siedemdziesięciometrowa studnia jest drugą decydującą przeszkodą na naszej drodze. Przeciwstawia nam ona niemal wszystko, co współczesny wspinacz może spotkać w górach. I skrajnie trudne klasyczne wspinanie, i podciąg na listkach, i nitowanie, i wahadła, i wreszcie łąso z pętli, które zarzucam na drobne wypukłości wapiennej skały — tam, gdzie braknie szczelin, a nitowanie trwałoby zbyt długo.

Chóralny śpiew „Congratulations” moich kochanych kolegów z dna studni obwieszcza moment, kiedy dochodzę do górnego skraja.

Wspinamy się częściowo wykorzystując system studni za trawersem. Teraz pozostaje do zrobienia tylko trawers nad studnią — w odwrotnym kierunku, niż to robiłem w sierpniu 1963 r. („Taternik” 3—4/1964, s. 99). W ruch idą wiertła, ale roboty jest sporo. Tu przeżyłem jeden z piękniejszych momentów wyprawy, kiedy Andrzej podaje mi na reperszurze pakuneczek z garstką cukru i ułamkiem pumpernika — całe jędrzenie, jakie pozostało dla nas czterech. Zresztą takich momentów było więcej, choćby ciągle, robione cichaczem starania Kazia, aby nieść najcięższy worek. Duch wyprawy, klimat ludzki były przez cały czas pobytu pod zie-



nią wspaniałe. I nie mogły ich zachwiać trudy ani coraz dotkliwszy brak żywności. Z takim zespołem nie byłem nigdy na wyprawie. A mieliśmy jeszcze wsparcie w grupach kontaktowych, które codziennie przez cały czas naszej wspinaczki przychodziły nad skraj Wielkiej Studni. I choć łączność z nimi mieliśmy tylko głosową i to dopiero pod koniec wyprawy, wiedziliśmy, że możemy na nich liczyć.

Osiągnięcie drugiego brzegu studni oznacza koniec największych trudności. Jeszcze efektywna kolejka linowa nad 70-metrową przepaścią i wszyscy jesteśmy pod lodowczykiem. Na nogi raki, w garść czekan i w górę. Jeszcze uzyskujemy przewyższenie nad otworem w bocznym korytarzyku, aby mieć pełne 640 metrów wysokości nad dnem i wychodzimy na powierzchnię.

Zaśnieżone góry mienią się w słońcu.

## Stawki wśród tatrzańskich turni

JÓZEF NYKA

Wiemy, że największym powierzchniowo jeziorem Tatr jest — przynajmniej oficjalnie — Morskie Oko (34,9 ha), że największą głębokość osiąga Wielki Staw Polski (79,3 m), że najniżej leży otoczony lasami Stawek pod Zwierówką (1015 m). Które jednak ze stawów tatrzańskich biją rekordy prawdziwie górskie — położone są najwyżej?

Jeśli chodzi o zbiorniki większe, po polskiej stronie najwyżej leży Zadni Staw Polski (1890 m), po słowackiej zaś — Wielki Staw Furkotny Wyżni (2145 m). Absolutnym jednak rekordzistą Tatr Polskich jest niepozorny i znany przede wszystkim taternikom Zadni Stawek Mnichowy. Leży on na dolnym skraju Zadniej Galerii Cubryńskiej, ponieważ zaś przepływa go strużka wodna — zachowuje mniej więcej stałe rozmiary. Według pomiaru, jaki przeprowadziłem latem 1955 r., ma on 35 m długości i 15 m szerokości oraz powierzchnię ok. 0,04 ha. Linie brzegową wyznaczają złomy granitu (zob. zdjęcie), jest więc ona b. silnie rozwinięta. Głębokość stawku jest jak na tego rodzaju zbiorniczek dość znaczna, przekracza bowiem metr (dokładnie 1,1 m). Mapy topograficzne nie uwzględniają go, z warstwic można jednak w przybliżeniu obliczyć wzniesienie nad poziom morza: 2070 m — mniej więcej tyle, ile wynosi wysokość Mnicha (2068 m)!

W odległości ok. 10 km w kierunku wschodnim leży inne podniebne jeziorko, tym razem rekordzista w skali całych Tatr. Jest nim Lodowy Stawek (zwany też Lodowym Stawem), zajmujący dno kamienistej kotlinki u podnóża południowych ścian Kopy Lodowej. Turyści znają go nieco lepiej, przechodzi bowiem obok niego popularny szlak na Lodową Przełęcz. Lustro wody rzadko kiedy uwalnia się od kry lodowej, a w kilku miejscach przebite jest kamiennymi wyspami. Gdy w r. 1962 pisałem o nim w „Poznaj Świat“, stawek nie posiadał jeszcze danych limnometrycznych, oszacowałem go więc na 0,2 do 0,3 ha powierzchni i 2—3 m głębokości. Jak wykazały szczegółowe pomiary słowackie, nie pomyliłem się zbytnio: jeziorko ma kształt kolisty o średnicy 73 m, jego powierzchnia wynosi 0,4 ha, a maksy-



Najwyżej położone jeziorko Tatr — Lodowy Stawek (Staw) pod Lodową Przełęczą. Całe lustro pokrywa jesienny lód, wystające z wody bloki morenowe tworzą małe wyspki.

Fot. Józef Nyka

malna głębokość 4,5 m. Wzniesienie nad poziom morza oznaczono dokładniej: 2157 m, co się równa wysokości naszego Kościelca czy Błyszca nad Doliną Kościeliską.

Nazwę Lodowego Stawku wylansował Walerj Eljasz: „Stawek ten zwać należy Lodowym, bo prawie zawsze bywa lodem i śniegiem pokryty“ — pisze w swoim znanym przewodniku (1900)\*. Na firmowanej przez

\* Używa tej nazwy począwszy od wydania III (1886 — „Stawek zwykle zamrażnięty, stąd nazwany słusznie Lodowym“).





Zadni Stawek Mnichowy. Z prawej garby w Szpiglasowej Grani, dalej głębokie Wrota Chałubińskiego, za nimi ostra Kopa nad Wrotami, podwójne wcięcie Przełęczy nad Wrotami, wreszcie skały Ciemnosmreczyńskiej Turni.

Fot. Józef Nyka

Towarzystwo Tatrzańskie mapie „Tatry Wysokie” 1 : 25 000 (1903) widnieje nazwa „Modry Stawek”, utworzona według wzoru niemieckiego „Blaues Seechen” i do dziś obowiązująca u naszych sąsiadów — „Modré pleso”. Zadniemu Mnichowemu Stawkowi nazwę nadał dopiero W. H. Paryski („Tatry Wysokie” t. 4 s. 195). Pomiarami limnometrycznymi prowadzonymi w r. 1934 przez WIG nie został on objęty, ponieważ spoczywał pod śniegiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności i Zadni Stawek Mnichowy, i Lodowy Staw do piśmiennictwa polskiego weszły za pośrednictwem Tytusa Chałubińskiego. Pierwszy z nich odnotował on sam przy okazji prac bryologicznych („Dol. Staszycza za Mnichem przy maleńkim zawsze zamarzłym stawku, u stóp resztek dawnego lodnika” — 1886). Drugi zaś napotkał w mgłę w trakcie jednej ze swych wycieczek — opisaną przez B. Rejchmana w r. 1879 w „Ateneum”. Powierzchnia jeziora była pokryta lodem i zlodowaciałym śniegiem, a wzmiankę o nim Rejchman opatrzył przypisem: „Zdaje mi się,

że stawu tego nie ma na mapie sztabu generalnego. A może też to jest ostatni z pięciu stawów?”

Ponieważ każde stwierdzenie ma z reguły jakieś „ale”, trzeba i przy najwyższej położonych stawkach Tatr uczynić pewne zastrzeżenie. Otóż wyżej jeszcze niż Lodowy Stawek leży mały zbiorniczek śródpiargowy w kotlinie pod Baraniami Rogami, zwany Baranin Stawkem (Baranie plesko), usytuowany, jak wykazują pomiary, na wysokości 2207 m. Wiadomo o nim jednak, że w suchych okresach lata i jesieni całkowicie traci wodę, z punktu widzenia limnologii nie jest więc w pełnym tego słowa znaczeniu stawkiem.

**Publikacje:** 1) J. Nyka: Małe stawki w Dolinie Rybiego Potoku — „Wierchy” 1955 s. 220—221. 2) J. Nyka: Stawki pod samym niebem — „Poznaj Świat” 1962 nr 5 s. 7—8. 3) A. Marček: Tatrzańskie plesá — „Vysoké Tatry” 1967 nr 2 s. 18—20.

## ŻOŁNIERZE TATERNIKAMI

„Żołnierz Wolności” zamieścił w numerze z dni 8 i 9 sierpnia 1970 r. interesujący foto-reportaż pt. „Podhalańczycy na skalnym poligonie”, obrazujący ćwiczenia górskich jednostek WP we wspinaczce i posługiwaniu się sprzętem taternickim. „Kilkadziesiąt godzin szkolenia taterniczego — czytamy — obejmuje kilka trudnych tematów. Wspinaczka na stromym stoku, zjazd po linie z jednego szczytu na drugi położony niżej, transport

ludzi ze stoku na stok, przerzut broni i sprzętu, podejście pod szczyty, trawersowanie stoku.” Zdjęcia pokazują wykład o użyciu liny do asekuracji, zainstalowane w skale stanowisko dowodzenia, „kolejkę” z lin itp. Nasze wojsko dysponuje już dziś kadrami dobrych instruktorów taternictwa, warto jednak przypomnieć, że w ich wyszkoleniu nie małe zasługi mają wspinacze zrzeszeni w Klubie Wysokogórskim, którzy w ciągu lat przekazywali im swoją wiedzę i umiejętności.



# Wyprawa w Karakorum 1969

RYSZARD SZAFIRSKI

Wyprawa rodziła się w bólach, ale za to bardzo szybko. Ostateczna decyzja zapadła w marcu 1969 r. Jeśli nie liczyć wcześniejszych przygotowań prowadzonych przez Jerzego Warteresiewicza, Andrzeja Kusia i Andrzeja Zawadę, startowaliśmy w zasadzie od zera. Kierownictwo miał sprawować Andrzej Zawada. Plan przewidywał 6 uczestników i 2 samochody: Nysę i Landrover. Niestety. Andrzej Zawada nie mógł pojechać i Zarząd Główny KW wyznaczył na kierownika Ryszarda Szafirskiego. Zmiany te nastąpiły na tydzień przed wyjazdem. Nie będę pisał o szczegółach naszej czteromiesięcznej harówki i o gorączkowych ostatnich dwóch tygodniach, kiedy to wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Jedno nie ulega wątpliwości: wyprawa wyruszyła z kraju tylko dzięki ogromnemu uporowi, zdecydowaniu i świadomości wszystkich, że jest naprawdę konieczna.

## Kalendarium

Granice Polski opuściliśmy 17 VII 1969 r. w Chyżnem. Okres od 17 VII do 4 VIII zajął przejazd samochodem z Polski do Pakistanu. Jechaliśmy przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Bułgarię, Turcję, Iran i Afganistan — z jednym dniem przerwym w Stambule.

5—22 VIII Islamabad. Pierwszy tydzień załatwianie formalności, a następnie dni niekończące się oczekiwanie na samolot do Skardu.

23—30 VIII Skardu. Pierwszego dnia formalności u władz Baltistanu, a następne — czekanie na dodatkowe pisemne pozwolenie na wyruszenie w góry.

31 VIII—5 IX. Przemarsz do Arandu. Pierwszego dnia traktorem do wsi Juno, a dalej już z pomocą 24 kulisów.

5 IX. Odpoczynek w Arandu i zamiana kulisów na miejscowych górali.

6—9 IX. Marsz z 23 kulisami w górę lodowca Chogolungma, jego morenami bocznymi. Drugiego dnia po południu rozwiązywanie karawany — zostawiamy tylko 7 kulisów.

8—11 IX. Przenoszenie bagażu metodą wahadłowca: kulisi, sirdar i nasza czwórka. Zabieramy się z biedą na dwa razy.

12 IX. Odprawiamy 6 kulisów i sirdara, zostaje tylko 1 kulis, którego musimy jako tako wyekwiupować.

13—17 IX. Przenoszenie bagażu z bazy tymczasowej Bulochu.

17—19 IX. Założenie bazy głównej (4300 m). Odpoczynek. Pierwszy zwiad w górę lodowca, próba łączności itp.

20—28 IX. Zakładamy i zaopatrujemy w sprzęt i żywność obozy I, II i III — ten ostatni na Polskiej Przełęczy (5840 m).

29 IX—1 X. Baza główna. Odpoczynek i przygotowanie do ataku szczytowego.

2—5 X. Transport żywności i sprzętu do obozu III.

6 X. Zostajemy na przełęczy w trójkę: A. Heinrich, A. Kuś i R. Szafirski. Roman Petrycki po zrobieniu zdjęć schodzi do bazy głównej.

7 X. Zakładamy obóz IV (ok. 6200 m) na grani północno-wschodniej Malubitingu Północnego.

8 X. Wchodzimy na dziewiczy Malubiting Północny (6843 m) i tego samego dnia schodzimy do obozu IV.

9 X. Zakładamy obóz V na plateau podszczytowym Malubitingu Zachodniego (7453 m).

10 X. Próba wejścia na główny szczyt (Malubiting Zachodni) załamuje się na wysokości ok. 7100 m ze względu na złe warunki atmosferyczne. Tego dnia wracamy jeszcze do obozu IV.

11—15 X. Ewakuacja obozów IV, III, II i I.

16 X. Zwinięcie bazy głównej.

17—22 X. Transport sprzętu z bazy do Arandu.

23—29 X. Dzień odpoczynku w Arandu i marsz z 10 kulisami do wsi Juno, a następnie przejazd traktorem do Skardu.

30 X—1 XI. Wizyty końcowe u przedstawicieli najwyższych władz Baltistanu. Oczekiwanie na samolot.

2—12 XI. Islamabad. Zaczynamy od wystąpienia o wizy tranzytowe: afgańskie, irańskie i tureckie, które niestety już straciły ważność. Załatwiamy formalności końcowe w pakistańskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych: składamy sprawozdanie z wyprawy, zwracamy wypożyczone mapy, oddajemy naświetlone filmy, składamy podziękowania itp. Zajmujemy się propagandą: konferencja prasowa, występ w telewizji, radio, cocktail w Ambasadzie Polskiej.

13 XI—9 XII. Podróż powrotna do kraju. Trasę nieznacznie zmieniamy ze względu na potrzeby filmu dla Telewizji Polskiej.

10 XII 1969. Przekraczamy granicę Polski w Chyżnem.

## Zadanie ponad siły

Ostatecznie wyjechało nas czterech — Andrzej Heinrich, Andrzej Kuś, Roman Petrycki i Ryszard Szafirski. Zadanie nasze nie było łatwe, z czego na szczęście dla całego przedsięwzięcia doskonale zdawaliśmy sobie sprawę. Cały zespół docenił powagę sytuacji i dawał z siebie wszystko, co było tylko możliwe. Nie była to „wspaniała wycieczka samochodem przez Azję” — jak to określiła pewna Polka w Teheranie. Wiedzieliśmy, że szanse nasze w górach są niewielkie. Jasne też było dla każdego, że aby impreza nie stała się niewypałem, musimy po pierwsze zostawić w Pakistanie możliwie najlepszą opinię o Polakach, i po drugie — przywieźć do kraju takie materiały i doświadczenia, które pozwolą sprawnie przygotować następną poważną wyprawę. Zadanie na pozór proste, a jakże zarazem trudne!

Nie lada egzamin czekał „Nysę”: przewieźć około tony bagażu i 4 ludzi na trasie Warszawa — Rawalpindi — Warszawa. My wierzyliśmy w nią i nie zawiedliśmy się, chociaż sam dyrektor zakładów „Nysa” uważał nasze przedsięwzięcie za bardzo ryzykowne. Ciężkie dni przeżywaliśmy w górach Turcji, gdzie spadki szos przekraczają 10%. Nie lepiej było na fatalnych drogach Iranu, 700 kilometrów Wielkiej Stonej Pustyni



wspominamy jak koszmar: jazda bez ustanku przez 23 godziny, w tym noc, ażeby uniknąć straszliwych upałów. W Afganistanie temperatura w samochodzie dochodziła do +55°. Dręczyły nas kłopoty z wodą do picia i widok soczystych owoców, których nie jedliśmy w obawie przed amebą.

Wszyscy, z wyjątkiem Andrzeja Heinricha, prowadzili samochód. Andrzej Kuś zajmował się sekretariatem, finansami i kontaktami z ludnością miejscową, co znakomicie ułatwiała mu znajomość kilku języków obcych. Roman Petrycki, jako operator dysponujący około 10 tysiącami metrów taśmy, nie odrywał się od kamery, mobilizując do pomocy wszystkich. Andrzej Heinrich dbał o uzupełnianie brakującej żywności i sprzętu, pilnował też, aby co atrakcyjniejsze produkty zachować na akcję górską. Natomiast ja liczyłem codziennie marną sumę 800 dolarów, które topniały z każdym dniem, i rwałem włosy z głowy na myśl, że przecież wkrótce musi ich zbraknąć.

Na dwa dni przed wyjazdem z Warszawy nadszedł telegram od naszej ambasady w Pakistanie, że wyprawa otrzymała pozwolenie na zaatakowanie dziewiczego szczytu o nazwie Malubiting (7453 m). Zastanawialiśmy się dlaczego z pięciu szczytów, które wymieniliśmy w podaniu i do których byliśmy przygotowani teoretycznie, dostaliśmy akurat szósty, o którym nie wiedzieliśmy prawie nic, a co gorsza — nie mieliśmy już czasu na skomentowanie wiadomości. Nawiasem mówiąc, podobne kłopoty miawały i inne wyprawy. W Skardu spotkaliśmy ekspedycję włoską, która na pozwolenie czekała trzy lata. Każdy cel sugerowany przez nią władze załatwiała odmownie. W końcu zmęczeniu korespondencją Włosi poprosili o pozwolenie na zaatakowanie jakiegokolwiek dziewiczego siedmiotysięcznika w Karakorum: wybrano im K6...

W Islamabadzie staraliśmy się przy usilnej pomocy naszej Ambasady najpierw o zmianę celu, a gdy to się okazało niemożliwe — już tylko o zmianę trasy podejścia. Rejon lodowca Hispar odradzono nam stanowczo, podobnie trzeba było zrezygnować z podejścia pod Malubiting od północy, przez Hunzę, Nagar i lodowiec Barpu, skąd jest on najłatwiej dostępny. Ostatecznie uzyskaliśmy zgodę na okrężną drogę od wschodu przez lodowiec Chogolungma, która dawała jakieś szanse zdobycia szczytu. Rozwiązanie to miało zresztą pewną stronę dodatnią: mogliśmy w ten sposób zrobić dodatkowo częściowy rekonensans trasy podejścia w rejon lodowca Baltoro, co może się przydać naszym następnym wyprawom.

Z Rawalpindi mieliśmy lecieć do Skardu samolotem, a dalej dojechać jeepami do wsi Juno i stąd wyprawić karawanę kulisów. Wykupiliśmy bilety i nadaliśmy bagaż 13 sierpnia, z zamiarem polecenia następnego dnia. Niestety, z powodu złych warunków atmosferycznych najbliższy samolot do Skardu odleciał dopiero 23 sierpnia. Owych 10

dni wyczekiwania będziemy długo pamiętać. Ale oto w Skardu nowa niespodzianka: szef policji stwierdza, że brak nam pozwolenia na piśmie, a gwarancja oficera łącznikowego — kapitana armii pakistańskiej, przydzielonego do naszej wyprawy — nie wystarczy. Rozdzwoniły się telefony na linii Skardu — Islamabad, energiczną akcją podjęła nasza niezawodna Ambasada, a przede wszystkim jej pierwszy sekretarz, p. Stanisław Kowalski. Wreszcie 30 sierpnia, po tygodniu czekania, kiedy, zdawało się już, że wszystko przegrane, nadszedł telegram z Ministerstwa Kaszmiru z pozwoleniem.

### Nareszcie w góry!

Następnego dnia wyruszamy traktorem — najtańszym tu środkiem lokomocji — do wsi Juno. Tam organizujemy karawanę złożoną z 24 kulisów i 4 września docieramy do wsi Arandu, u czoła lodowca Chogolungma. Po dniu odpoczynku i zamianie kulisów na miejscowych górali, 6 września wyruszamy morenami bocznymi w górę lodowca. Po dwóch dniach zmuszeni jesteśmy rozwiązać karawanę i zostawić tylko 7 kulisów. Powód? Kulisi demonstracyjnie idą bardzo wolno, pragnąc za wszelką cenę zwiększyć ilość dni karawany, gdyż płacę otrzymują za dniówkę... Dwudniowy marsz, jaki mieliśmy już za sobą, można było bez większego wysiłku przejść w jeden dzień. Groziło nam to niewypłacalnością jeszcze przed dojściem do bazy. Następne kilka dni wypełniła ciężka praca od świtu do nocy przy noszeniu ładunków metodą wahadłową. 11 września odchodzi 6 kulisów i sirdar. Nie możemy ich zostawić, gdyż dalsza droga wiedzie już lodowcem, i trzeba by im dać przynajmniej buty, których nie mamy w takiej liczbie. Zostajemy więc z oficerem łącznikowym i jednym kulisem, dla którego udaje nam się skompletować ekwipunek. Następnym tydzień to kosztowna praca, której trudów żaden opis nie jest w stanie oddać.

Miejsce wybrane na bazę znajduje się w odległości ok. 8 godzin drogi od punktu, do którego donieśli ładunki kulisi. Na pomoc w noszeniu ze strony oficera łącznikowego nie mogliśmy liczyć, do dźwigania zostało nas więc czterech, a w dodatku ktoś musiał zająć się przygotowywaniem jedzenia. Czterech ludzi i 800 kg bagażu, który trzeba było przenieść — dla porównania — z Jaworzyny Spiskiej na Lodową Przełęcz!

Wreszcie 17 września wszystkie ładunki mamy w bazie. Następane dwa dni poświęcamy na zagospodarowanie i zasłużony a zarazem konieczny odpoczynek. Odprawiamy wiernego kulisa z ostatnimi wiadomościami dla Ambasady, rodzin i klubu. Od tej chwili przez następne sześć tygodni nie będziemy mieli kontaktu ze światem, co ciężko odbije się na naszych bliskich w kraju, zwłaszcza kiedy w pierwszych dniach listopada w prasie polskiej pojawi się fałszywa



notatka o zaginięciu polskiej wyprawy. Począwszy od 20 września zaczynamy systematyczną pracę przy zakładaniu obozów pośrednich wzdłuż lodowca Chogolungma, kierując się na nienazwaną i dziewiczą przełęcz (5840 m) między Malubitingiem Północnym (6843 m), a jego siedmiotysięcznym sąsiadem Spantikiem (7029 m). Teren jest miejscami bardzo zagmatwany i niebezpieczny, a 400 m przed przełęczą przechodzi w ścianę lodową o dość dużych trudnościach, które zmuszają nas do założenia około 120 m poręczówek. Po tygodniu działalności mamy obóz III na przełęczy.

Jesteśmy trochę zmęczeni. W obozie III stoją dwa namioty, jest tu trochę sprzętu i bardzo mało żywności. Wracamy więc do bazy, robiąc po drodze remanent sprzętowo-aprowizacyjny. W bazie sporządzam bilans i plan rozmieszczenia żywności i ekwipunku w poszczególnych obozach. Nie jest dobrze. Jedzenia mamy na najwyżej 10 dni działalności, a paliwa jeszcze mniej. Rezerw prawie żadnych. Trzeba się więc spieszyć. Drugiego października całą czwórką opuszczamy bazę obładowani sprzętem i żywnością — z zamiarem powrotu już ze szczytu. Po drodze w obozach I i II pozostawiamy niezbędne zapasy na powrót. W dniu 5 października wszyscy jesteśmy na przełęczy. Ciągle nie wiemy jak dobrać się do głównego, zachodniego wierzchołka. Plan jest następujący: najpierw pójdziemy granią wschodnią, zakładając na niej obóz IV. Pozwoli to prawdopodobnie zdobyć dziewiczy Malubiting Północny, a co najważniejsze — rozpoznać drogę ataku na główny, Zachodni. Następnego dnia obaj Andrzej idą więc poręczować 200-metrowy uskok grani, a ja odprowadzam Romana z przełęczy. Jest to dla nas przykra konieczność: Roman jest w stanie pójść wyżej, co byłoby nader korzystne ze względu na film, ale przedłużyłoby zbyt długo naszą i tak już zapóźnioną akcję.

#### Ku szczytowi

Pogoda jest przez cały czas dobra. 7 października, obładowani ciężkimi plecakami, opuszczamy przełęcz i trudną granią, wczoraj częściowo zaporęczowaną, posuwamy się powoli w górę. Późnym popołudniem sytuacja jest niewesoła. Do zmroku pozostała tylko godzina, a my tkwimy na ostrej i ekspozowanej grani (ok. 6100 m) bez szans na znalezienie miejsca pod namioty. Myśl o powrocie do obozu III dopinguje nas jednak do działania. Zostawiam więc plecak i bez obciążenia idą w górę rozejrzeć się. Kilkadziesiąt metrów wyżej znajduje się coś, co od biedy musimy posłużyć za miejsce obozu IV. Namioty rozbijamy już po ciemku — na małej ekspozowanej płaszczyźnie na grani. Wysokość około 6200 m. Śpiemy dobrze.

Rano wyruszamy granią, tutaj już łatwą, z aparatami fotograficznymi i kamerą filmową w kierunku wierzchołka północnego.



Widok z Przełęczy Polskiej (Polan La) w kierunku północno-zachodnim, na lodowce Barpu i Miar. Z prawej na horyzoncie grupa Batury.

Fot. Andrzej Kuś

Po drodze odkrywamy przewidywaną możliwość dojścia trawersem z grani na ogromne plateau, z którego już bez trudności da się wejść na główny wierzchołek, czyli Malubiting Zachodni.

O godzinie 15.15 cała trójka staje na szczycie. Cieszymy się jak dzieci. Radość potęguje fakt, że pogoda jest znakomita, a droga do głównego celu prosta. Nikomu z nas nie przechodzi przez myśl, że może istnieć jakaś siła, która powstrzyma nas jutro przed zdobyciem wierzchołka.

Następnego dnia zabieramy jeden namiot, resztę żywności, sprzęt biwakowy i filmowy i ruszamy w górę. Obóz, a raczej biwak, zakładamy już na plateau, jednak niżej, niż to przewidywaliśmy, bo na wysokości ok. 6750 m — zmusza nas do tego i odległość i mróz. O godzinie 19 temperatura spada do  $-34^{\circ}$  i trzeba szybko rozstawić namiot, aby uniknąć odmrożeń. Noc jest fatalna: zimno, wilgotno, ciasno. Nie śpiemy. Nad ranem zrywa się lekki wiatr, pogoda nadal jednak wydaje się być dobra. Począwszy od godziny 7 wychodzimy w odstępach 15-minutowych kolejno — Heinrich, ja i Kuś. Teren jest łatwy, wolny od szczelin. Słońce, lekki wiatr,





Uczestnicy wyprawy w bazie Palichor na lodowcu Chogolungma. Od lewej: oficer łącznikowy kpt. Imtiaz Ahmad Khan, R. Szafirski, R. Petrycki, A. Heinrich i A. Kuś. Siedzi: sirdar Ali Akbar.

Fot. Andrzej Kuś

temperatura  $-18^{\circ}$ . Śnieg niezły. O godz. 9 nad Malubitingiem Zachodnim pojawia się chmurka i wiatr nieco się wzmaga. O 10 zaczyna nas ogarniać chmury, wiatr nadal przybiera na sile, zaczyna padać śnieg. Do przełęczy (ok. 7200 m) między centralnym, a zachodnim wierzchołkiem mamy już bardzo blisko. Szczyt na wyciągnięcie ręki. Śnieg staje się jednak coraz gorszy. Zapadamy się do pasa. Byłe do grani...

Niestety... O godz. 13 nie jesteśmy jeszcze na grani, a pogoda fatalna. Temperatura poniżej  $-20^{\circ}$ , widoczność minimalna, pada śnieg przy silnym wietrze. Sto metrów za nami ślady już zawiane. Zaczyna być niedobrze. Robimy więc analizę sytuacji: jeśli warunki się nie pogorszą — jesteśmy w stanie osiągnąć jeszcze dzisiaj szczyt. Nie obejdzie się jednak bez biwaku w zejściu. A wtedy — biorąc pod uwagę temperatury ostatniej, bezwietrznej przeciwie nocy — odmrożenia pewne. I co dalej? Kto nam pomoże, skoro od bazy dzielą nas 3 dni drogi, a od Arandu dwa razy tyle? Zresztą w bazie jest tylko Roman, no i oficer łącznikowy kapitan Imtiaz, który znalazł się po raz pierwszy w wysokich górach. Następny problem to lawi-

ny. Padający śnieg odetnie nam drogę powrotu na grań, gdyż prowadzi ona długim trawersem po ogromnych lawiniastych stokach. Jesteśmy załamani. Tak blisko, a także daleko! Rozsądna decyzja może być tylko jedna: odwrót. Czy jakoś dziwnie się pocą. Tyle pracy i tyle serca... Dość. Wracamy.

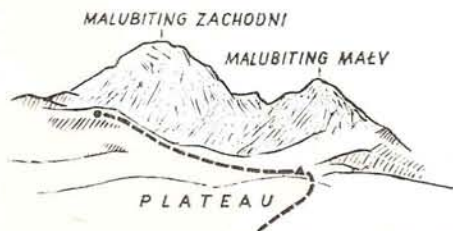
Widoczność zero. Ślady? Wszystko dokładnie zawiane. Idziemy na wycucie. Długo błądzimy. W końcu udaje nam się odnaleźć namiot obozu V. Jest bardzo silny wiatr i mróz. Zwijamy pospiesznie obóz i ruszamy w dół, zanim zamknie się droga odwrotu. Do obozu IV dochodzimy już o zmroku ślaniając się na nogach, Pić, pić i spać.

#### Trudy powrotu

Tak kończy się kulminacyjny etap naszej wyprawy, w błędzie byłby jednak ten, kto by sądził, że był on najdramatyczniejszy.

Zaczyna brakować jedzenia, a co najważniejsze i benzyny. A przecież trzeba regenerować siły, gasić pragnienie i pracować. Z każdym dniem jest gorzej. Pogoda fatalna. To nie było chwilowe załamanie: to w Karakorum nadeszła już zima. Nic dziwnego, jest przecież druga dekada października. Sił coraz mniej. Znana w górach reguła, że najniebezpieczniejsze są odwroty, i tym razem się potwierdziła. Andrzej Kuś o mało nie spada z grani, ja szczęśliwie kończę 7-metrowy upadek do szczeliny na lodowcu. Byłoby przetrzymać jeszcze tych kilka dni, jakie dzielią nas od bazy. Tam będzie lepiej.

Wreszcie jesteśmy wszyscy razem. Radość trwa jednak krótko. W bazie też odczuwa się braki, zwłaszcza cukru i benzyny. Palimy czym się da — począwszy od spirytusu z apteczki, a skończywszy na drewnianych opakowaniach. Następują dni, kiedy głód zagląda nam w oczy, a codzienne opady śniegu



Końcowy odcinek drogi ataku. Trójkątem oznaczono obóz V, punktem — miejsce odwrótu polskiego zespołu. Ten fragment terenu pokazuje zdjęcie zamieszczone na okładce.

Rys. Józef Nyka



wysysają z nas resztki sił, zmuszając do przekopywania się z ciężkimi worami na plecach. Walczymy o każdy kilogram, by uratować cenny sprzęt.

Wreszcie 21 października z 10 tragarzami i dobytkiem docieramy do wsi. Tutaj kończy się najdramatyczniejszy okres wyprawy, ale owe dziesięć dni (11 do 21) pozostaną nam w pamięci na zawsze. Potem jest trochę lepiej, wracamy przecież do Skardu zamieszkałymi dolinami. Ciężkie dni kończą się ostatecznie w Skardu, gdzie dowiadujemy się, że wysłano nam z Polski obiecane jeszcze przed wyjazdem 400 dolarów. Jest 28 października. W Skardu zabawiamy kilka dni, czekając na samolot. W okresie tym kończymy oficjalnie naszą wyprawę wizytą u władz Baltistanu, pozostawiając raczej dobre opinie o alpinistach i alpinizmie polskim.

Nasz sirdar, Ghulam Rasul, doświadczony w wielu wyprawach w Karakorum, bezstronnie w relacjach oficjalnych podsumował naszą wyprawę mniej więcej tak: „pieniędzy to oni nie mieli dużo, sprzęt i jedzenie też mieli nie najlepsze, za to ludzie byli twardzi i uparci, i to zadecydowało o ich sukcesie”. Wypowiedź tę przytaczam, chcąc w tym miejscu podziękować całemu zespołowi za ogromny wysiłek, zdyscyplinowanie i poświęcenie, które pozwoliły osiągnąć maksimum tego, co było możliwe przy siłach i środkach, jakimi dysponowaliśmy — z uwzględnieniem wszystkich trudności obiektywnych.

Potem jest Islamabad. Radość z naszego sukcesu w gronie Polaków tam pracujących.

Dobiega już jednak czwarty miesiąc od naszego wyjazdu z kraju. Robi się bardzo późno. Niestety przeróżne formalności pozwalają nam wyjechać z Islamabadu dopiero 13 listopada. Na pożegnanie z Azją czeka nas jeszcze jedna niespodzianka: ramadan. To wielki post, trwający okrągły miesiąc. Od piątej rano do piątej wieczór nie można nigdzie nic zjeść. A tu w drodze powrotnej praca przy filmie. Trzeba wykonać zobowiązania zaciągnięte w stosunku do Telewizji Polskiej. Nadkładamy drogi dla ciekawszych obiektów, marzniemy, nie dosypiamy, a na dodatek wszystko o pustym żołądku. Ramadan. Nachodzą mnie momentami czarne myśli, że to się nigdy nie skończy. Wszystko jednak ma swój kres: oto i Stambuł — koniec naszych kłopotów. Koniec z postem, koniec z filmowaniem, koniec z Azją, jesteśmy w domu — w Europie! Cudowny dzień — słońce, ciepło, lokanty pełne jedzenia i wina. Piękny biwak nad Bosforem i jeszcze piękniejszy świt. Podobno najgorsze są chwile pożegnań. Przyznam się, że rozstając się z Azją nie odniosłem takiego wrażenia.

W Bułgarii króluje już zima. W Jugosławii zamiecie śnieżne. Z Belgradu do Ružomberku jedziemy 24 godziny bez przerwy. Zmęczeni kończymy naszą wielką przygodę — z nadzieją, że za nami pójdą inni, których nie odstraszy mordęga dalekiej podróży...

## Po wyprawie — garść refleksji

Ponieważ na nasz rekonesans w Karakorum patrzę z pozycji jego uczestnika, a nawet kierownika, nie umiem obiektywnie ocenić wartości osiągniętego sukcesu i korzyści, jakie wynikną z całego przedsięwzięcia dla przyszłości polskiego alpinizmu wyprawowego. Nie chciałbym jednak zrezygnować z kilku spostrzeżeń natury techniczno-organizacyjnej, jakie nasunęły mi się bądź w czasie trwania wyprawy, bądź po jej zakończeniu.

1) **Liczebność wyprawy.** Jeśli cel himalajski nie należy do kategorii najtrudniejszych i najpoważniejszych, by go zaatakować i zdobyć, 4-osobowy zespół dobrych alpinistów w zupełności wystarczy. Warunkiem jest jednak, aby posiadali oni dostateczną ilość pieniędzy na tragarzy wysokościowych i kulisów.

2) **Pozwolenie.** Jest to bodaj najpoważniejszy problem organizacyjny każdej wyprawy. Bez pozwolenia określającego dokładnie cel i drogę podejścia nie należałoby w ogóle wyruszać w góry Pakistanu. Uwaga: Najświeższe wiadomości z Ambasad polskiej mówią, że władze pakistańskie opracowują nowe warunki działalności wypraw. Na pewno wyprawy w ogólnym rozrachunku podrożeją.

3) **Oficer łącznikowy.** Przydzielany w zasadzie do pomocy każdej wyprawie, obciąża ją jednak poważnie finansowo i organizacyjnie. Trzeba go ubrać, zapewnić mu wyżywienie, przejazdy oraz obowiązkowo ubezpieczyć na życie. W ujęciu nowych przepisów zapewne trzeba będzie mu płacić jeszcze diety.

4) **Filmy i fotografowanie.** Przy wjeździe do Pakistanu lub w pakistańskim MSZ trzeba zadeklarować ilość i rodzaj posiadanych materiałów światłoczułych, po zakończeniu zaś wyprawy trzeba się z wszystkiego wyliczyć, a nasświetlone negatywy oddać władzom. Po wywołaniu i kontroli materiały te są zwracane, za całą jednak obróbkę i wysyłkę trzeba płacić.

5) **Tragarze wysokościowi.** W Pakistanie jest to problem podstawowy. Wszystkie działające tam dotychczas wyprawy miały z tym bardzo duże kłopoty. Tubylcy zamieszkujący doliny górskie w Karakorum nie nadają się do noszenia wysoko, a przywóz Szeppów z Nepalu nie jest dozwolony. Jednym z rozsądnych i godnych rozważenia wyjść — przedstawiam to jako własną propozycję — mogłoby być zabieranie z wyprawą kilku osób z kraju, z wyraźnym przeznaczeniem do spełniania obowiązków tragarzy.

6) **Transport ekipy.** W warunkach trudności dewizowych naszych wypraw od dawna już ugrunтовowało się przekonanie, że najbardziej ekonomiczny jest przejazd grupy własnym samochodem. Opierając się na naszych doświadczeniach muszę stwierdzić, że w przypadku poważnych celów himalajskich założenie to wymaga rewizji. Podróż samochodem w tak odległe rejony jest przede wszystkim bardzo męcząca. Od wyjazdu z kraju do założenia bazy na lodowcu musi upłynąć około półtora miesiąca. Okres ten jest wypełniony tyłoma wrażeniami i takiego wymaga wysiłku, że w psychice ludzi zabiera się cel główny, jakim jest przecież działalność górską. Nawet najlepiej przygotowany zespół może się w tych warunkach całkowicie rozkleić. Dlatego też uważam, że trzon sportowej wyprawy powinien lecieć samolotem na pozycje przygotowane już przez ekipę organizacyjno-transportową, która dużo wcześniej wyjechała samochodem. Ideałem byłoby połączenie obu grup w momencie formowania się karawany. Robiąc oszczędności dewizowe kosztem sił ekipy można po prostu stracić wszystko.

## Uwagi na temat wyposażenia

Nasza wyprawa z pewnością nie może służyć za wzór innym, nie będą więc zajmował miejsca zestawieniami zabranego ekwipunku i żywności. Chciałbym jedynie podzielić się



z czytelnikami pewnymi spostrzeżeniami, jakich poczyniliśmy sporo, szczególnie w dziedzinie samochodu, arowizacji i sprzętu.

1) **Żywność.** W przeciwieństwie do wielu znanych mi wypraw nie porcejawaliśmy żywności. Wyszliśmy z założenia, że w bazie głównej będzie dość czasu na przygotowanie zapasów do górnych obozów — w zależności od aktualnych gustów i potrzeb, które zmieniają się skrajnie w czasie i w miarę narastania zmęczenia. Przygotowywanie porcji żywnościowych na kilka tygodni czy nawet miesięcy wcześniej mija się z celem. Wyjątek stanowią raczej wysokościowe, które muszą posiadać konkretne ilości kalorii, witamin, soli, być łatwo przyswajalne itp. Trzeba je więc przygotować wcześniej. Wykorzystanie ich należy zacząć od około 7000 m. Do tej wysokości można się żywić w sposób konwencjonalny bez specjalnych „naukowych” przygotowań. Jedyny rozsądny i konieczny podział, to wyodrębnienie żywności przeznaczonej na dotarcie do bazy głównej oraz zapasów na samą działalność. Zabezpieczenie żywnościowe drogi powrotnej wytoni się samo z pozostałości po działalności górskiej.

Bardzo ważną sprawą jest natomiast prowadzenie ścisłej ewidencji produktów rozłożonych w poszczególnych obozach. Uchroni to ekipę od spierzania zapasów w jednych obozach i powstawania braków w innych, a także przed transportem w górę rzeczy zbędnych. Wybierając się do Azji, a szczególnie do Pakistanu, nie wolno zapomnieć, że nie jada się tam wieprzowiny. Ważnymi produktami są z tych względów tłuszcze roślinne (oliwa, ceres itp.), trzeba się też liczyć z koniecznością dokupienia części prowiantu dla oficera łącznikowego na miejscu. W czasie podróży samochodem najwygodniej i najekonomiczniej jest żywić się częściowo w restauracjach na trasie. Na zakończenie tych krótkich uwag chciałbym się podzielić jeszcze jednym spostrzeżeniem, które dla mnie osobiście będzie w przyszłości zasadą: na wyprawie nie może nigdy zabraknąć paliwa (benzyna, butan), cukru, herbaty, mąki, tłuszczu, soli i witamin. Mając paliwo oraz tych kilka produktów można prowadzić działalność górską bardzo długo.

2) **Samochód.** Do Pakistanu, a nawet do Indii, można w zasadzie dojechać każdym samochodem.

Oprócz około 600-kilometrowego odcinka w Iranie, drogi są dobre. Na terenie Azji trzeba zapomnieć o przepisach drogowych i zawsze być przygotowanym na najgorsze, być może wtedy przejedzie się bez wypadku. Największe wzniesienia i spadki szos występują w Turcji, gdzie przekraczają 10%. Przy poprawnej jeździe samochód taki jak „Nysa” z toną bagażu daje sobie radę bez większych kłopotów. Dla orientacji podam rodzaje awarii, jakie przydarzyły się nam: rozkręcenie się resorów; uszkodzenie wyłącznika startera; rozsypanie się łożysk tylnych kół; pęknięcie chłodnicy; zerwanie się paska klinowego. Przejechalśmy łącznie około 18 tysięcy kilometrów. „Nysa” spalała średnio 15 l benzyny i około 0,23 litra oleju (Selektol) na każde 100 km. Części zapasowych mieliśmy przeszło 100 kg, co i tak nie zagwarantowało całkowitej samowystarczalności. Nasza seryjna „Nysa” zdała egzamin na piątkę. Po drodze spotkaliśmy trzy mikrobusy „Volkswagen” z zatartymi silnikami — jeden z nich holowali przeszło 50 km, na co mamy dowody w postaci filmu i zdjęć.

3) **Sprzęt i ekwipunek.** Wzorcowe zestawienie sprzętu nie trudno znaleźć w literaturze górskiej — także w „Tatemiku”, ograniczyć się tu więc do kilku ocen i uwag, wartych zapamiętania również dla organizatorów mniej dalekich wojaży:

Szczególnie dobrze zdały egzamin i godne są polecenia radiotelefony typu „Klimex”, nosiłki prototypowe (po usunięciu kilku drobnych usterek), duże, wieloosobowe namioty bazowe, maszynki benzynowe polskiej produkcji (ok. 330 zł), matraczki piankowe, bielizna wełniana, wreszcie magnetofon z dobrymi nagraniami, doskonale poprawiający samopoczucie.

W sposób widoczny brakowało nam traserów do oznaczania przejść między szczyłami, naftowych lub butanowych lamp bazowych, butanu do gotowania w bazie i na rezerwę do obozów wyższych, kremów przeciwsłonecznych, łączności ze światłem w postaci radiostacji lub łącznika, krótkich i lekkich lin do asekuracji na lodowcach, zapasowych śpiworów, zwalniających zespoły od chodzenia stale ze sprzętem biwakowym.

Na specjalne wyróżnienie zasługują maszynki benzynowe. Zawsze byłem zwolennikiem palników gazowych — teraz przekonałem się do benzyny, i to szczególnie w wyższych obozach, gdzie jest zimno i butan pali się bardzo słabo.

A. Heinrich i A. Kuś ruszają w górę z obozu na Przelęczy Polskiej (Polan La).

Fot. Roman Petrycki





# Na lodowcu Chogolungma

ANDRZEJ KUŚ

Niechaj nikogo nie zmyli podobieństwo nazwy wielkiego lodowca w Karakorum, na którym w r. 1969 działała polska wyprawa, do tybetańskiej nazwy Everestu, w piśmiennictwie przyjmowanej jako określenie całego masywu najwyższego szczytu świata. Po prostu tutaj, w zachodniej części Karakorum, tak jak i w odległych o prawie 2000 km Himalajach Centralnych, spotyka się nazwy wywodzące się ze wspólnego tybetańskiego pnia językowego i świadczące o tym, że Karakorum — północno-zachodnie przedłużenie Wielkich Himalajów — to góry nie tylko o podobnym pochodzeniu i charakterze, ale i o pokrewnej problematyce etnicznej. „Chogolungma-gang” oznacza w lokalnym, kaszmirskim narzeczu Balti „wielką dolinę lodową”.

Tutaj właśnie przyszło działać „I Polskiej Wyprawie w Himalaje-Karakorum 1969”. Ta niezupełnie ścisła oficjalna nazwa wyprawy wymaga pewnego wyjaśnienia, bowiem w rzeczywistości pierwszą polską wyprawą himalajską była znana ekspedycja Adama Karpińskiego, która w r. 1939 zdobyła Nanda Devi East (7434 m) w Himalajach Garhwalu. Wyprawa ta przez 30 lat pozostała niestety pierwszą i ostatnią, a polski debiut w Karakorum nastąpił właśnie w roku ubiegłym. Określenie „Himalaje-Karakorum” użyte zostało dla zwiększenia komunikatywności nazwy wyprawy na terenie kraju, gdzie z geografiami gór egzotycznych nie bywa najlepiej.

## Kierunek — Karakorum

Karakorum, wspaniałe pasmo najwyższych gór świata — jak pisał Jan K. Dorawski — przewyższające pod wieloma względami Wielkie Himalaje, stało się obiektem polskich zainteresowań jeszcze długo przed II wojną światową. Utworzony w r. 1936 Komitet Himalajski pod kierownictwem Adama Karpińskiego planował wyprawę na drugi szczyt świata, słynną piramidę K2 (Chogori, 8611 m), wznoszącą się nad lodowcem Baltoro. Renesans zainteresowań po wojnie nastąpił niestety po bezpowrotnym utraceniu kilkunastu lat złotej ery zdobyczy himalajskich — dopiero w latach 1965—66. Wówczas to Jurk Warteresiewicz, jeden z inicjatorów „nowej fali” wyprawowej, wysuwając cele dla polskiej ekspansji, napisał w „Taterniku” 3—4/1966 w artykule „Himalaje — z nami czy bez nas?”, że najlepsza będzie „ta wyprawa, która zostanie urządzona niezwłocznie”. Chronologia wypraw lat 1953—64 wyraźnie bowiem wskazywała, że wkrótce może

zabraknąć w Karakorum celów najwyższych i najambitniejszych. Rokrocznie działało tam po kilka dużych i szereg mniejszych wypraw, których lupem padły po kolei wszystkie ośmiotysięczniki i co bardziej atrakcyjne szczyty siedmiotysięczne.

1953 — Nanga Parbat (8125 m) w pobliskich Himalajach Zachodnich — wyprawa niemiecko-austriacka, kierownik Herrligkoffer;

1954 — K2 (Chogori, 8611 m) — wyprawa włoska, kierownik A. Desio;

1955 — Spantik (7029 m) — wyprawa zachodniemiecka, kierownik K. Krämer;

1956 — Gasherbrum II (8035 m) — wyprawa austriacka, kierownik F. Moravec;

1957 — Broad Peak (8047 m) — wyprawa austriacka, kierownik M. Schmuck;

1958 — Gasherbrum I (Hidden Peak, 8068 m) — wyprawa amerykańska, kierownik N. Clinch;

1958 — Gasherbrum IV (7925 m) — wyprawa włoska, kierownik R. Cassin;

1958 — Rakaposhi (7788 m) — wyprawa angielska, kierownik M. Banks;

1958 — Chogolisa N-E (7654 m) — wyprawa japońska, kierownik T. Kuwabara;

1958 — Haramosh (7406 m) — wyprawa austriacka, kierownik H. Roiss;

1959 — Kanjut Sar (7760 m) — wyprawa włoska, kierownik G. Monzino;

1960 — Distaghil Sar (7885 m) — wyprawa amerykańska, kierownik M. Clinch i H. Bell;

1960 — Disteghil Sar (7885 m) — wyprawa austriacka, kierownik W. Stefan;

1960 — Trivor (7720 m) — wyprawa angielsko-amerykańska, kierownik W. Noyce;

1962 — Saltoro Kangri (7742 m) — wyprawa japońska, kierownik T. Shidei;

1964 — Momhil Sar (7342 m) — wyprawa austriacka — kierownik H. Schell.

W r. 1966 powołany został przez Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego Komitet Organizacyjny Wyprawy w Karakorum, którego kierownictwo powierzono Andrzejowi Zawadzie. Gdy zespół ten wskutek niesolidności kontrahentów francuskich (GUMS) usiłował uporać się z trudnościami dewizowymi, w górach samych nastąpiło zahamowanie działalności wyprawowej. Napięta sytuacja polityczna w Kaszmirze oraz zbrojny konflikt indyjsko-pakistański w r. 1965 spowodowały, że kilka wypraw owego lata musiało się pospiesznie wycofać z już prowadzonych akcji, a w latach 1966 i 1967 nie wpuszczono ani jednej ekspedycji.



## Okres przygotowań

W r. 1968 sytuacja w Kaszmirze na tyle się poprawiła, że skromnej 4-osobowej wyprawie austriackiej udało się dotrzeć w góry i zdobyć Diran (7273 m), a Anglikom zaatakować Malubiting (7453 m). Toteż ożywienie polskich przygotowań, jakie nastąpiło po Walnym Zejeździe Klubu Wysokogórskiego w marcu 1969 r. przyszło, można powiedzieć, w samą porę.

15 kwietnia 1969 r. Zarząd Główny KW zatwierdził skład 6-osobowej wyprawy w Karakorum pod kierownictwem Andrzeja Zawady. Zgodnie z sugestiami cytowanego wyżej artykułu Warteresiewicza, wniosek o pozwolenie skierowany do władz Pakistanu podawał jako cel główny Khiangyang Kish (7852 m) — drugi z niezdobitych szczytów świata. Wylizował też cztery inne szczyty rezerwowe o wysokości 7800—7500 m, usytuowane w pobliżu lodowca Hispar. Dzięki energicznemu staraniom Ambasady PRL w Islamabadzie, polska wyprawa była jedną z pierwszych i nielicznych, którym w ogóle udzielono pozwolenia, zresztą na zasadzie wyjątku (*special case*), umotywowanego okolicznością obchodów 25-lecia Polski Ludowej. Jednakże treść telegramu, jaki dotarł w początku lipca do warszawskiego MSZ, była dla nas kompletnym zaskoczeniem „Przekazanie Klubowi Wysokogórskiemu, że strona pakistańska godzi się na działanie grupy alpinistycznej w rejonie Malubiting — szczyt 24 500 stóp”. Masyw ten nie był przecież zupełnie brany pod uwagę w naszych dotychczasowych planach wyprawowych! Niespodzianka owa zbiegła się z trudnościami osobowymi, opóźniającymi wyjazd z kraju, wskutek czego Plenum ZG KW w dniu 6 lipca 1969 r. podjęło uchwałę o przekwalifikowaniu zamierzonej wyprawy na 4-osobowy rekonesans w rejon szczytu Malubiting.

W pierwszych dniach pobytu w Pakistanie, po konsultacji z honorowym sekretarzem Himalayan Club, plk. E. R. C. Goodwinem i uzupełniających studiach w bibliotece British Council w Rawalpindi, żywiliśmy jeszcze nadzieję, że uda nam się uzyskać pozwolenie na krótkie, wygodne podejście w rejon Malubitingu od strony północnej — przez lodowiec Barpu, co otworzyłoby możliwość dodatkowego rozpoznania tak bardzo dla nas interesującego otoczenia lodowca Hispar. Niestety zdecydowane stanowisko pakistańskiego Foreign Office rozwiało te nadzieje, określając jako dozwoloną marszrutę doliny od strony południowej, najchętniej z Gilgit przez lodowiec Baskai. Po negocjacjach udało się uzyskać zgodę na podejście z Baltistanu, tj. od południowego wschodu, ze Skardu poprzez dolinę Shigaru i lodowiec Chogolungma, co było ze wszystkich oferowanych wariantów najkorzystniejszym, o tyle jednak złym, że i najdłuższym. A czas niestety grał już główną rolę w przebiegu wyprawy, która wskutek sumujących się opóźnień stawa-

ła się z planowanej „pomonsunowej” wyprawą jesienną (wymarsz karawany nastąpił 1 września 1969 r.).

Malubiting (7453 m) — szczyt, a właściwie rozległy pięciowierzchołkowy masyw, którego zdobycie zaoferowano naszej wyprawie, był wszelako celem ambitnym i wartościowym. Położony w południowym łańcuchu zachodniej części Karakorum, niemal dokładnie na przecięciu współrzędnych geograficznych 75° dł. wsch. i 36° szer. pn. jest dwunastym co do wysokości z niezdobitych dotąd szczytów Karakorum, trzydziestym z niezdobitych w ogóle i 76 wierzchołkiem kuli ziemskiej. Mógł stać się też „najwyższą polską górą”, bo przewyższa Nanda Devi East (7434 m), choć jest niższy od polskiego „rekordu wysokości” — Noszaka w Hindukuszu Wysokim (7492 m).

## Historia eksploracji

Prawobrzeżne partie górnej części doliny Shigaru, a w ich obrębie dolina rzeki Basha i lodowiec Chogolungma, stanowią ogólnie biorąc teren stosunkowo słabo wyeksplorowany przez wyprawy alpinistyczne, których uwaga skupiała się jak dotąd głównie na szczytach w otoczeniu lodowca Baltoro, lub też na całkiem innych okolicach Karakorum. Natomiast historia eksploracji samego lodowca Chogolungma jest bogata, można nawet powiedzieć, że ten piąty co do wielkości lodowiec Karakorum (język ma 43,5 km długości) należy do stosunkowo najdawniej poznanych. Odkrył go w r. 1835 r. angielski podróżnik, G. T. Vigne, który swe spostrzeżenia spisał w dziele „Travels in Kashmir, Ladak, Iskardo etc.”, wydanym w Londynie w r. 1842. Dotarł on co prawda niezbyt daleko poza czoło lodowca, jednakże jego pracę poszerzyła wkrótce działalność znanych eksploratorów Karakorum — geologa H. H. Godwina-Austena, który w r. 1861 przebywał 8 dni na Chogolungmie jako asystent „Great Trigonometrical Survey of India” oraz ekspedycji M. W. Conway’a w r. 1891. Lodowiec został dość dokładnie spenetrowany, powstała nawet jego pierwsza mapa. W latach 1902 i 1903 r. dwukrotnie przebywały w tym rejonie przez czas dłuższy wyprawy słynnego amerykańsko-holenderskiego małżeństwa podróżników, dra W. H. Workmana i Fanny Bullock-Workman, które dotarły po raz pierwszy do górnych cyrków lodowcowych Chogolungmy, gdzie przeprowadziły dokładniejsze studia glaciologiczne. W obu wypadkach Workmanom towarzyszyli topografowie, m. in. prof. K. Östreich z Berlina (1902). Podobną działalność prowadził z Workmanami w r. 1911 polski naukowiec, Maciej Kończal („Taternik” 1—2/1963, s. 23). Dodajmy, że udokumentowana historycznie działalność Polaków w Karakorum ma znacznie dawniejsze początki. Aż tutaj bowiem. na tereny ówczesnego „chaństwa Kandżutu” (dziś Hunza), dotarł w r. 1888 przez przełęcz



Kilik i Ming-Teke z Kaszgaririi z oddziałem swych kozaków Bronisław Grąbczewski, generał w służbie carskiej i „największy po dziś dzień badacz polski gór Azji Środkowej” („Podróże po Azji Środkowej” PWN Warszawa 1958).

We wrześniu 1939 r. już na początku wojny, odwiedził Chogolungmę dr E. C. Fountaine wraz z grupą Szerpów sprowadzonych z Nepalu, prowadząc pomiary w ramach angielskiej wyprawy kartograficznej E. Shiptona, która opracowała jedną z najlepszych do dziś map zachodniej części Karakorum (Hispar-Biafo Glacial system, skala 1:253 000). Grupa Fountaine'a przebyła z pomocą tragarzy z Arandu odcinek doliny wzdłuż Chogolungmy do bocznego lodowca Haramosh, a następnie przez przełęcz Haramosh La (4800 m) przepłynęła się do doliny Indusu. Podobny „raid” odbyli w r. 1947 dwaj podróżnicy szwajcarscy.

W r. 1954, jesienią penetrował Chogolungmę Niemiec, inż. W. Kick z Regensburga, wracający z nieudanej wyprawy na Broad Peak, prowadzonej przez dra K. Herrligkoffera. Dzięki materiałom i rekonensansowi Kicka została przygotowana Frankfurter Karakorum-Expedition, która w r. 1955 jako pierwsza podjęła ściśle alpinistyczną działalność w opisywanym rejonie i zakończyła się zdobyciem najłatwiejszego z siedmiotysięczników ponad Chogolungmą — Spantika (inaczej Yengutz Har, 7029 m), drogą poprowadzoną poprzez długą śnieżną grań od południa. Niemcy penetrowali również sąsiedni rejon Malubitingu, oceniając szczyt jako bardzo trudny do zdobycia. Najłatwiejszy z jego wierzchołków, Malubiting Wschodni (East Peak, 6970 m), nie miał jednak długo czekać na zdobycie: zaatakowali go z powodzeniem 2 sierpnia 1959 r. kapitanowie A. J. Imrie i J. Akhter (Anglik i Pakistańczyk), uczestnicy dużej międzynarodowej Army Mountaineering Expedition (kierownik mjr H. Streater), której część działała na Chogolungmie.

W r. 1968 znaleźli się pod Malubitingiem wspinacze angielscy (Manchester Karakoram Expedition — kierownik T. H. Allen), których wniosek o podejście przez lodowiec Barpu został przez władze rozpatrzony negatywnie. Rozpoczęli więc działalność od strony południowej, wyruszając z 70-osobową karawaną z Sasli w dolinie Indusu. Przeprowadzony najpierw rekonesans w dolinie Puparash wykazał jednak niemożliwość ataku tamtędy i Anglicy rozwinęli akcję od strony lodowca Baskai, gdzie Malubiting również opada stromymi zerwami liczącymi półtora tysiąca metrów wysokości. Próba pójścia granicą w kierunku Malubitingu Wschodniego zakończyła się jednak tragicznym wypadkiem B. Ripley'a w dniu 29 lipca 1968 r. na wysokości ok. 5800 m ponad obozem III, wskutek czego Anglicy przerwali wyprawę.



Dziewiczy szczyt Laila (6985 m) widziany z obozu I.

Fot. Andrzej Kuś

### Polski plan

Doświadczenia poprzedników wskazywały więc, że dokonany naprędce wybór podejścia naszej wyprawy poprzez lodowiec Chogolungma był najwłaściwszym z możliwych. Plan taktyczny opracowany na podstawie fragmentarycznych niestety danych uzyskanych w Rawalpindi, przewidujący 5 wariantów ataku szczytowego, zawierał jednak co najmniej tyle samo niewiadomych. Konfrontacja w terenie rozproszyła na szczęście wszelkie wątpliwości. Marszruta rozpoczęta 30 sierpnia 1969 r. ze „stolicy” Baltistanu — Skardu wkrótce doprowadziła wyprawę do ostatniej wioski (2900 m) — Arandu, położonej na morenach tuż poniżej czola Chogolungmy i bocznego lodowca Tippuri Nala. Dziwna to wioska. Spod brunatnej lodowcowej bramy Chogo wypływa burzliwa Basha, niosąc wodę, namul i materiały fluwioglacjalne, użyźniające glebę tutejszych pól. Dzielni musieli być najdawniejsi mieszkańcy wioski, którzy założyli siedzibę tak wysoko, nie bacząc na surowe warunki egzystencji. W wiosce panuje dziś wyłącznie islam i jego zwyczaje, lecz jeszcze z początku naszego stulecia pochodzi wzmianka, że władzę we wsi sprawowały kobiety, a *chief woman* („wójtowa”) przyjmowała wyprawę Workmanów. Nawrócenie z religii buddyjskich na islam tej części Baltistanu, która wykazywała silne związki z Tybetem, rozpoczęło się podobno już w XV wieku za sprawą misjonarzy perskich.

Porad Arandu, długi lodowy jezior Chogolungmy okalają dziewicze pięcio- i sześciotysięczne szczyty (grupa Haramosh), których



formy zadziwiają śmiałością. Wzdłuż całego nadzwyczaj spękanego lodowca ciągną się za moreną boczną dolinki ablacyjne, dające możliwość wygodnego poruszania się w górę po orograficznie lewej stronie lodowca. Przez pewien odcinek (do 3800 m) rozwija się też dość bujna wegetacja i postępująca za nią gospodarka pasterska.

Mniej więcej 20 km przed końcem Chogolungmy, od wypływu bocznego lodowca Bu-locho (3900 m), który wznosi się w górę ku słynnej „komunikacyjnej” przełęczy Nushi-La (4990 m), odsłania się widok na pełną panoramę górnego piętra doliny. Z lewej pa-nuje grupa Malubitingu z jego wierzchołkami — Wschodnim (6970 m), Środkowym (7291 m), najwyższym, cofniętym głęboko do tyłu Zachodnim (7453 m) i Północnym (6843 m). Poza nią śnieżny Spantik (7029 m), strze-lista Laila (6985 m) i całe bogactwo grani, lodospadów, seraków i wszystkich dosłow-

nie form lodowcowych. Analiza tej panora-my i dokładniejsze rozpoznanie w terenie wykazały, że najlogicznym jest wariant pierwszy planu wyprawy, to jest atak pół-nocno-wschodnią grania na dziewiczy North Peak (6843 m) przez nie zdobytą przełęcz 5840 m (Polish Pass), pomiędzy Spantikiem i masywem Malubitingu, skąd następnie do-piero otworzy się droga do najodleglejszego i najwyższego West Peaku (7453 m).

Że plan ten mógł być realizowany dopie-ro na przełomie września i października, nie-mal u progu zimy, w porze kiedy w całej historii Karakorum działały spórtowo tylko 2 lub 3 ekspedycje, było cichym i niezawin-ionym dramatem naszej wyprawy. Ale fakt, iż plan ten zakończył się wejściem szczyto-wym i akcją prowadzoną na wysokości 7000 m, trzeba uznać za bardzo szczęśliwe roz-wiązanie, zresztą wywalczone z niemalym trudem.

## Zwycięstwo i przegrana

ANDRZEJ HEINRICH

Gdy 17 września, po przeszło dwu tygod-niach karawany, założyliśmy bazę na lodow-cu Czogolungma u stóp trójkątnej skalnej ściany, byliśmy bardzo zmęczeni lecz szczę-śliwi: nareszcie znaleźliśmy się w górach. Zwłaszcza ostatnie dni, kiedy to po buncie tragarzy sami musieliśmy nosić bagaże wy-prawy poprzez poprzecinany szczelinami lodowiec, były dla nas wielką próbą przeła-mania piętrzących się przed wyprawą trud-ności i niepowodzeń. Okazało się, że jeste-smy zespołem zgranym i możemy polegać je-den na drugim. Dźwigaliśmy ładunki, któ-rych waga z reguły przekraczała 40 kg, a niekiedy osiągała przeszło 60 kg. Zmęczenie i wysiłek tych dni łagodził widok szczytów o stromych śnieżno-lodowych ścianach, wznoszących się nad lodowcem. Zachwył bu-dziła zwłaszcza Laila (6985 m) o idealnie smukłej sylwetce i spiczastym wierzchołku, wspartym na potężnych ramionach ze śniegu i lodu.

Od wyjazdu z kraju minęło równo dwa miesiące. Mieliśmy za sobą niezwykle cieka-wy przejazd „Nysą” przez egzotyczne kra-je Wschodu, przepiękny przelot nad Hima-lajami z Rawalpindi do Skardu obok potęż-nego masywu Nanga Parbat (8125 m), wresz-cie przeszło 70 kilometrów drogi karawaną z Juno do bazy. Najpierw była emocjonująca przeprawa przez rwący nurt rzeki Shigar na tratwach z drewnianych żerdzi i nadmuchi-wanych skór baranich i kozich. Potem kilka-

dziesiąt kilometrów marszu doliną rzeki Bas-ha. Mijaliśmy po drodze wioski zbudowane z kamienia i plecione z wikliny, skupione wśród smukłych topoli i rozłożystych orze-arów, w otoczeniu wypracowanych wysił-kiem pokoleń, tarasowato ułożonych pole-tek z siecią kanałów nawadniających — ma-le oazy zieleni pośród spieczonych tropikal-nym słońcem zboczy górskich. Szliśmy w słońcu i niepogodzie. Poznawaliśmy ludzi — ich pracę, ich zwyczaje. Mijaliśmy ośnieżone szczyty, przekraczaliśmy rwące potoki o lo-dowatej wodzie.

### Początek działalności

W Arandu, ostatniej wiosce, położonej na wysokości 3400 m u czoła lodowca Chogo-lungma, zmieniliśmy tragarzy i ruszyliśmy w kierunku czterowierzchołkowego potężnego masywu Malubitingu (7453 m). Zerwy tego szczytu opadające ku Chogolungmie skrzyły się w słońcu bielą ogromnych nawisów i ba-rier seraków, z góry przekreślając realność jakiegokolwiek próby wejścia od tej strony. Atak okazał się możliwy jedynie od prze-łęczy 5840 m, oddzielającej masyw Malubi-tingu od sąsiedniego Spantika (7029 m). Nie-stety dalsza droga nad przełęczą nie była wi-doczna.

20 września obładowani ruszyliśmy z bazy przez stromy trawiasty próg o wysokości



kilkuset metrów na górne piętro lodowca, omijając w ten sposób jego spękane zerwy. Smutne złotaworude trawy na tle białych szczytów przypominały, że zaczyna się kalendarzowa jesień. Szliśmy zboczami po prawej stronie lodowca, obok labiryntu szczelin i seraków tnących we wszystkich kierunkach jego potężne cielsko. Patrzyłem na przygięte ciężarem nosilek sylwetki Ryśka, Andrzeja i Romana. Ich twarze były spieczone słońcem i wychudłe, a oczy zapadnięte głęboko. Zniknął z nich jednak wyraz niepewności i przygnębienia — tak częsty w czasie niekończących się perypetii dojazdu i marszu karawanym. Ale i teraz, gdy w śnieżycy przenosiliśmy ładunki z bazy do obozu I, chwilami traciłmy nadzieję: czy wystarczy nam siła? — czy nie jest zbyt późno? — jaka okaże się dalsza droga nad przełęczą? Jednak gdy rano słońce na nowo oświetlało góry, optymizm i żapał do pracy wracały natychmiast.

Kolejne dni wypełniało dźwiganie ciężkich ładunków z obozu do obozu, mordereze torowanie w głębokim śniegu, kluczenie wśród zdradliwych szczelin lodowca i groźnie trzaskających seraków. Trudno już teraz odtworzyć przebieg wszystkich tych niezliczonych godzin spędzonych na lodowcu, w słońcu, wietrze, zamieci. W pamięci utrwaliły się jedynie poodrywane obrazy i ciągi obrazów: kolorowe namioty na białej płaszczyźnie lodowca obok potężnych ścian Malubitingu i Spantika, tysiące gwiazd na niebie, jasny sierp księżyca wolno przesuwany się w górę doliny, menażka gorącej zupy podawana drżącymi od wysiłku rękami kolegów, potem sen, który przychodził natychmiast i oddzielał jeden pracowicie spędzony dzień od następnego.

### Wyżej i wyżej

Z obozu II, położonego na wysokości 5100 m u stóp Malubitingu Północnego, musieliśmy dostać się pod wspomnianą przełęcz 5840 m. Droga prowadziła przez zwięzającą się lodowiec w kopnym śniegu. Co jakiś czas z północno-wschodnich zboczy spadały w dół potężne lawiny seraków. Musieliśmy podjąć ryzyko przejścia. Wolno posuwaliśmy się w górę, przekraczając rozległe lawiniska z ogromnymi bryłami strzaskanego lodu. Noc spędziliśmy w namiotach rozbitych pod przełęczą. Nad nami, 1000 metrów wyżej, wisiały lodowe bariery. Ileż tragedii himalajskich rozegrało się w podobnym terenie!

Następny dzień wypełniła mozolna wspinaczka na przełęcz. Najpierw podejście po poręczówkach rozpiętych przez Ryśka i Andrzeja na stromym lodowym zboczu, potem kluczenie poprzez wysoką barierę seraków o pionowych ścianach z niebieskiego lodu, najeżonych długimi soplami. Wspinaczka w lodzie, przekraczanie niebezpiecznych mostów nad szczelinami i wreszcie łagodniejszy już stok śnieżny wyprowadzający na przełęcz 5840 m. Za trudy dnia czekała nas tam na górze sowita nagroda: niewiarygodnie



Na szczycie Malubitingu Północnego: od lewej — A. Kuś, R. Szafirski i A. Heinrich.

Fot. Ryszard Szafirski

piękny widok na oświetlone zachodzącym słońcem szczyty po drugiej stronie grani — Diran (7273), Baturę (7785 m), wspaniałe otoczenie lodowca Hispar... Daleko na wschodzie nad kolorową linią horyzontu stały ośmiotysięczniki nad lodowcem Baltoro — potężne, o smukłych, wystających nad postrzępione morze gór wierzchołkach. Między nimi Chogori (K2) — najpiękniejsza góra świata. Noc spędziliśmy bezsenne w pośpiesznie rozbitym namiocie. Na nogi postawił nas rano pelen słońca i gór. Na wysokości 5900 m założyliśmy obóz III, po czym trzeba było zejść aż do bazy po sprzęt i żywność do wyższych obozów. Działamy jednym małym zespołem bez żadnego wsparcia, zdani li tylko na własne siły. Gdy schodziliśmy z przełęczy, ze zboczy Malubitingu Północnego z hukiem stoczyła się potężna lawina seraków, która na przestrzeni kilkuset metrów przeorała naszą dolinę. Po kilkudziesięciu minutach musieliśmy przetrawersować to ogromne zastygłe lawinisko. Były lodu przeleciały przez całą dolinę i zostały wyrzucone aż na zbocza Spantika po drugiej stronie lodowca. Jeszcze dwukrotnie musieliśmy zdobywać się na odwagę, by przejść tą nadzwyczaj niebezpieczną trasą.

Po sześciu dniach, brnąc w świeżym śniegu znowu stanęliśmy na naszej przełęczy. Tym razem był z nami i Roman, obarczony sprzętem filmowym.

Tuż nad przełęczą trzeba było pokonać stromy odcinek pół lodowych o nachyleniu około 55° i długości 250 m. Zakładanie poręczówek trwało od rana do wieczora. Szybko minął ten piękny alpejski dzień na wysokości przeszło 6000 metrów — wśród ośnieżonych szczytów i huku lawin, które z impetem spadały 1500 m niżej na lodowiec Barpu. Na stoku zostały kolorowe liny i małe stopieńki z mozołem wyrąbane w twardym



lodzie. Był to najtrudniejszy, najbardziej pracochłonny odcinek naszej drogi. Wieczorem zjechaliśmy w dół do obozu, nie zdolawszy osiągnąć śnieżnego odcinka grani. Roman rozstał się z nami: samotnie oddalił się w kierunku II obozu, a w następnych dniach zszedł do bazy. Utrzymywaliśmy z nim kontakt z pomocą radiotelefonu. Co wieczór nawizywaliśmy łącznie z bazą, skąd kapitan Imtiaz, młody oficer armii pakistańskiej, przekazywał nam komunikaty, które radio Pakistańskie podawało dzień w dzień specjalnie dla naszej wyprawy.

### Polski szczyt w Karakorum

Od rana z trudem wspinaliśmy się po poręczówkach. Pasy nosilek wrzynały się w ramiona, dłonie kurczowo zaciskały się na linach, a nogi oparte na przednich zębach raków dygotały nerwowo. To już zaczynało przerażać ludzkie siły: trudny alpejski teren i plecaki ważące po przeszło 30 kilo... Rozpinając dalsze liny poręczowe już o zmroku dotarliśmy na połogi śnieżny odcinek grani. Szybko stanęły namioty. Był 7 października... Następnego dnia mieliśmy wyruszyć w kierunku wierzchołka północnego (6843 m), skąd oczekiwał nas po raz pierwszy wgląd w końcowy odcinek drogi — do głównej kulminacji Maubitingu (7453 m). Nasza sytuacja ogólna przedstawiała się niezbyt optymistycznie: zapas żywności i paliwa był ograniczony, prawie nie mieliśmy rezerw. Na szczęście piękna pogoda utrzymywała się nadal, dając nam niepowtarzalną szansę osiągnięcia celu.

Rano ruszyliśmy bez obciążenia śnieżną granią w górę — obok pięknych, misternie ukształtowanych nawisów. Śnieg na dużych odcinkach był ciężki, jednakże teren względnie łatwy, co pozwalało iść bez asekuracji. Około południa, tuż obok nas oberwał się ogromny nawis i z hukiem poleciał 1000 m w dół na lodowiec, w kierunku obozu II. Przestraszeni, uskokczyliśmy w bok i zaczęliśmy trawersować śnieżne stoki z dala od grani. Zerwał się dość silny wiatr. Wywiewał on zza grzbietu śnieg, jednakże góry tonęły nadal w słońcu. A było ich coraz więcej! Zatrzymaliśmy się na krótki posiłek. Potem jeszcze kilkaset metrów grani i wzięwszy się pod rękę weszliśmy na płaski śnieżny szczyt.

Staliśmy na Malubitingu Północnym na wysokości 6843 metrów. Z wzruszeniem ścisaliśmy się, gratulując sobie sukcesu. Mamy swój szczyt w Karakorum, jesteśmy pierwszymi na nim ludźmi... Przed nami jak na dłoni widać było rozległą płaszczyznę śnieżną, przez którą prowadziła nasza droga w kierunku głównego wierzchołka Malubitingu.

Wyglądała łatwo i nie pozostawiała złudzeń, co do odległości, jakie należało pokonać. Tuż obok widniały trzy pozostałe wierzchołki Malubitingu. Planowana trasa ataku wiodła najpierw na przełęcz pomiędzy wierzchołkami centralnym i głównym, a następnie niełatwą już granią na szczyt.

Było zimno, wiał lodowaty wiatr. Jak okiem sięgnąć dookoła piętrzyły się potężne białe szczyty. Robiliśmy zdjęcia, zgrabialiśmy rękami zmieniając filmy. Na czekanie łopotały flagi Polski i Pakistanu. Nie bez kolejnego wzruszenia fotografowaliśmy proporzcyk Klubu Wysokogórskiego na tle najwyższych szczytów Ziemi. Przed nami wznosiły się Rakaposhi (7790 m), Diran (7273 m), dalej na prawo rozłożyły się masyw Batury (7785 m), Trivor (7720 m), Distaghil Sar (7885 m), wreszcie na wschodzie postrzępiony ostrymi szczytami horyzont ze zwartą monumentalną grupą ośmiotysięczników nad lodowcem Baltoro i królującą wśród nich sylwetkę K2. Wzrok objął piękną Lailę z wiszącą barierą lodu, a potem masyw Nanga Parbat (8125 m) i wreszcie tuż obok trzy pozostałe wierzchołki Malubitingu: wschodni (6970 m), centralny (7291 m) oraz główny (zachodni — 7453 m). Daleko na zachodzie na przymglonej linii horyzontu wyźbityły się wierzchołki Hindukuszu.

Po niespełna godzinie spędzonej na szczycie zeszliśmy szybko stromymi polami śnieżnymi, oglądając Karokorum w powodzi zachodzącego słońca. Już tylko najwyższe wierzchołki były pomarańczowe, a nad nimi horyzont w kolorach tęczy. O zmroku dotarliśmy do obozu IV.

### Przed nami wierzchołek główny

To był 8 października... Zdobycie Malubitingu Północnego i rozpoznanie drogi do wierzchołka głównego jeszcze bardziej pobudziły nasz zapał. 9 października zerwaliśmy się wcześniej i spiesznie spakowaliśmy plecaki. Najpierw poprowadziły nas granią wczorajsze ślady, potem w głębokim śniegu przetrawersowaliśmy strome pole, podcięte od dołu serakami. Co chwilę zmienialiśmy się w prowadzeniu. Dzień był piękny, bezwietrzny, pełen słońca. Ciszę mąciły jednak co kilkadziesiąt minut odgłosy spadających lawin. Przed nami wznosił się nasz cel: Malubiting Zachodni (7453 m). Wydawał się bliski, jednakże rozległe pola śnieżne widać było w wielkim skrócie. Kolorowe postacie Andrzeja i Ryśka ożywiały ten biały krajobraz, odcinający się ostro od granatowego nieba. Na ich ogorziałych twarzach można było odczytać trudy ostatnich tygodni. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdy drogę zagroziła nam szeroka szczelina. Ominęliśmy ją dalekim obejściem. Śnieg był jeszcze głębszy, zrobiło się zimno, zaczął wiać silny mroźny wiatr. Uszliśmy jeszcze kilkaset metrów i przy zapadających ciemnościach rozbiiliśmy jeden mały namiot — obóz V.

Byliśmy na wysokości 6750 m. Nad nami rozpinało się wyiskrzzone gwiazdami niebo. Temperatura około godziny 20 spadła do  $-34^{\circ}$ . Noc była bezsenna, w ciasnym namiocie tylko chwilami zapadaliśmy w drzemkę. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy świtu.



Było jeszcze ciemno, gdy Rysiek zaczął gotować śniadanie. Gdy się rozwidniło, zostawiliśmy namiot i ruszyliśmy w kierunku przełęczy między wierzchołkami centralnym i głównym. W tyle został mały punkcik — to nasz namiot... Dalej wznosiły się szeroką panoramą, siedmiotysięczniki nad lodowcem Hispar. Około godziny 10 nad górami pojawiły się postrzępione cirrusy. Zaniepokoiły nas, zwłaszcza, że było ich z każdą minutą więcej. Nasz cel stawał się coraz bliższy, niebawem jednak i nad nim rozsnuły się chmury.

Zwiększyliśmy tempo podejścia. Zza Spantika wychylił się smukły wierzchołek Khian-gyangkisha (7852 m), opadający ostrymi graniami. Na wschodzie w siodle przełęczy między Malubitingiem Północnym a Centralnym widniał K2. Niebo zaciągnęło się szybko chmurami i wkrótce wchłonęły nas mgły. Zaczął sypać śnieg, zerwał się porywisty wiatr. Z uporem dążyliśmy w kierunku przełęczy, od szczytu dzieliło nas przecież już tylko 350 m różnicy wzniesień — 5 do 6 godzin marszu... Już zwątpiliśmy, ale wciąż jeszcze szliśmy w górę. Jakże ciężko było uwierzyć w przegraną — dosłownie o krok od celu! W końcu stało się jasne, że tego dnia nie osiągniemy szczytu, uprzytomniłszy też sobie, że sytuacja nasza z godziny na godzinę zaczyna być coraz bardziej niebezpieczna.

Około godziny 13, na wysokości mniej więcej 7100 m, zdecydowaliśmy się na szybki odwrót — aż do obozu IV na grani, od którego dzielił nas stromy 500-metrowy trawers lawiniastym zboczem.

### Gorycz odwrotu

Śniegu szybko przybywało. Ślady dawno zostały zasypane, a my wciąż błądziliśmy nie mogąc odnaleźć namiotu w obozie V. Wreszcie coś zamajaczyło we mgle — był to namiot, który zwinęliśmy śpiesznie, kontynuując odwrót. Męczyło nas błądzenie wśród rozległych szczelin, czuliśmy ubytek sił spowodowany tym, że od rana nie jedliśmy nic, prócz paru cukierków. Trawersowaliśmy po pas w śniegu w kilkudziesięciometrowych odstępach. Asekuracja z czekana w takich warunkach na nic się nie przyda. Pod nami obrywały się bariery seraków, gdzieś w dole był niewidoczny lodowiec Barpu. O zmroku dotarliśmy w zadyńce do obozu IV, rozbijając drugi namiot. Całą noc padał śnieg — rano namioty ugięły się pod jego ciężarem, do połowy zasypane. Zlikwidowaliśmy obóz IV i zesliśmy do poręczówek. Andrzej, idąc jako ostatni, potknął się i z ciężkim plecakiem zaczął się zsuwać po stoku. Po kilku metrach zatrzymał się tuż obok skalno-lodowego uskoku, którym obrywają się w dół północne zerwy Malubitingu.

Zejście i likwidacja poręczówek w zamieci śnieżnej trwały cały dzień. Na pocieszenie zostawała satysfakcja, że decyzja odwrotu była słuszna. Biwak w obozie III na prze-

łęczy był wygodny. Gdy rano wyczołgałem się z namiotu świeciło słońce. Nad doliną rozciągało się morze mgieł, a nad nim w powietrzu, wśród oświetlonych słońcem kryształków śniegu wisiała osobiwa świetlna kula. Ognisko ogromnego zwierciadła wklęsłego utworzonego przez zbocza Malubitingu, przełęczy 5840 m i Spantika... Niezwykłe to zjawisko trwało przez kilkadziesiąt minut.

Zwinęliśmy namioty. Plecaki ważyły po przeszło 40 kg, ewakuowaliśmy przecież za jednym razem wyposażenie z 3 obozów! Zaczęłem schodzić z przełęczy asekurowany z góry przez Ryśka. Spod nóg wyjechała mi deska śnieżna, dając początek lawinie. Jeszcze kawałek stoku po twardym lawinisku i mogłem asekurować Ryśka i Andrzeja. Schodziliśmy ubezpieczając się starannie. Słońce przeświecało przez mgły, plecaki ciężko niemiłosiernie. Minęliśmy barierę lodową, zabraliśmy liny poręczowe. Wreszcie 70-metrowym zjazdem osiągnęliśmy lodowiec. Pętla do zjazdu przymocowana była do puszek po sucharach, wkopanej głęboko w śnieg. Już w nocy skrajnie wyczerpani ciężarem plecaków i głębokim po pas śniegiem — dotarliśmy do obozu II. Przez następne dni w śnieżycy i zadyńce znosiliśmy ładunki do bazy, gdzie spędziliśmy wraz z Romanem i oficerem łącznikowym niezwykle miły wieczór. Ostatnie dni przeżyli oni w ciągłym lęku o nas — nie mieliśmy już przecież łączności.

17 października ruszyliśmy obładowani w dół lodowca. Do bazy trzeba było jeszcze wrócić po dwóch dniach opadu z dzielnymi kulisami, których prowadził Ali Akbar z Arandu. Po 18 godzinach spędzonych w zadyńce na lodowcu, torując po pas w świeżym śniegu wraz z pięcioma kulisami, znieśliśmy uratowany drogowy sprzęt, docierając o 1 w nocy, głodni i wyczerpani do namiotu na morenie bocznej lodowca. Jakże radosne było zejście w doliny! Jesienne Arandu, góralska wioska tętniąca codziennym życiem na zawsze pozostanie nam w pamięci...

\*

Dzisiaj, kiedy przeglądam gorączkowo kreślone notatki stamtąd, by na ich podstawie napisać tę krótką relację z wyprawy, nie mogę się powstrzymać od wyrażenia wdzięczności Ryśkowi, Andrzejowi i Romanowi za wspólnie spędzone tygodnie i miesiące, za ich hart i pełne samozaparcia dążenie do osiągnięcia wytkniętego celu — nawet wtedy, gdy już się wydawało, że wszystkie nasze wysiłki pójdą na marne i wyprawa wróci do kraju nie zobaczywszy nawet gór. Mimo że sukces osiągnęliśmy tylko w połowie, że nie udało nam się wejść na upragniony i tak już bliski Malubiting Zachodni — cieszę się, że mogłem w ich towarzystwie przeżyć jedną z najpiękniejszych przygód mego życia. Bo jak pisał Joseph Conrad w „Zwierciadle morza“ — „cisza zbliża tajemniczo okręty, a wiatr je rozdziela“.



# Wypadek w Jaskini nad Kotlinami

CHRISTIAN PARMA

W pierwszych dniach maja 1970 r. w Jaskini nad Kotlinami w Tatrach Zachodnich miał miejsce śmiertelny wypadek, któremu uległ 22-letni student Politechniki Śląskiej, Witold Szywała.

Spróbujemy odtworzyć przebieg wyprawy oraz akcji ratunkowej, przeprowadzonej przez Grupę Tatrzańską GOPR.

Wyprawę organizuje Akademicki Klub Grotołazów (AKG) przy Radzie Uczelnianej ZSP Politechniki w Gliwicach. Celem jest dokonanie drugiego przejścia systemu Jaskini Snieżnej (—772 m), będącej aktualnie ósmą co do głębokości jaskinią świata. Kierownictwo obejmuje jeden z najaktywniejszych członków AKG, Czesław Wrona. W wyprawie udział bierze dziewięciu grotołazów z Gliwic (Czesław Wrona, Witold Szywała, Adam Nikodem, Andrzej Bober, Marek Molin, Marek Zygmanski, Waclaw Sonelski, Stefan Szafruga i Stanislaw Kusnierz) oraz dwóch członków Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego KW w Zakopanem (Jacek Szlufiński i Julian Klammerus).

Ostatni dzień kwietnia oraz pierwsze dwa dni maja poświęcają na oporęczowanie drogi pod otwór wejściowy, transport sprzętu oraz przekopanie przykrywającej wlot przeszło metrowej grubości warstwy śniegu. 3 maja, po godzinie 12, do Jaskini nad Kotlinami wchodzi dwa zespoły: W. Szywała, A. Nikodem, M. Zygmanski i J. Szlufiński, którzy zamierzają przejść cały system jaskiniowy, oraz A. Bober, S. Szafruga i J. Klammerus, stanowiący grupę pomocniczo-transportową. Grupa ta wycofuje się z rejonu Suche Studni (ok. —200 m). Czteruosobowy zespół po przeszło 30 godzinach akcji dociera do zawaliska na głębokości ok. 770 m, skąd rozpoczyna odwrót.\* Po dwóch dobach od wejścia do jaskini zespół znajduje się w tak zwanym Suchym Ciągu na głębokości 400 m. Następuje wyraźne zwolnienie tempa wychodzenia. Po następnej dobie sytuacja przedstawia się następująco: 45-metrową Studnię pod Płytą (ok. —200 m) pokonują kolejno A. Nikodem i M. Zygmanski. Niżej, nad 70-metrową studnią czeka J. Szlufiński na wychodzącego W. Szywałę. Ten ostatni pokonuje tylko ok. 30 metrów studni. Nie odpowiada na zawołania Szlufińskiego. Dwaj pierwsi zjeżdżają z powrotem Studnią pod Płytą i wspólnymi siłami próbują wyciągnąć W. Szywałę. Po wyciągnięciu ok. 10 metrów lina klinuje się. Dalsze próby — mimo założenia systemu karabinków i prusików —

przerastają ich siły. Na nie sięgającej dna studni linie sisalowej zjeżdża A. Nikodem. Próbuje pomagać w wyjściu W. Szywałę, który nie ma już sił współdziałać w posuwaniu po linie swoich urządzeń zaciskowych. A. Nikodem wraca do towarzyszy i podejmuje decyzję samotnego wyjścia i zawiadomienia GOPR. Wydaje kolegom polecenie opuszczenia W. Szywały na dno studni oraz zjechania do niego na dowiązanej linie stylonowej, którą zrzuca po pokonaniu Studni pod Płytą. (Liny tej pozostała dwójka w słabym świetle ostatniej, zużytej już baterii nie znalazła). A. Nikodem zabiera z sobą dwie ostatnie zapasowe baterie. Resztę, w ilości około 35 sztuk, pozostawiono w worze uwiązany na końcu liny, po której wchodził W. Szywała.\*

W dniu 6 maja o godz. 21.10 Adam Nikodem zawiadomiamy telefonicznie z Gronika Centralę GOPR o wypadku w Jaskini nad Kotlinami. Podaje, że trójka grotołazów znajduje się na dnie 70-metrowej studni. Jeden z nich ma być skrajnie wyczerpany. Rozpoczyna się organizacja akcji ratunkowej i o godz. 23.20 z Zakopanego wyjeżdża zespół: K. Byrcyn, E. Ostapowski, Ch. Parma, A. Rajwa i J. Roj. Na Krzeptówkach, w mieszkaniu Ch. Parmy, zaopatrują się w żywność, glucovit dla poszkodowanych, dodatkową linę itp. 7 maja ok. godz. 4 do Jaskini nad Kotlinami wchodzi dwójka grotołazów (nie będących członkami GOPR): E. Ostapowski i Ch. Parma. z apteczką, żywnością, gorącą herbatą itp. Zespół ten rozwija przewód telefoniczny, utrzymując łączność telefoniczną i radiową z M. Gajewskim, kierującym akcją ratunkową. Na ich prośbę zgromadzeni przy otworze ratownicy rozpoczynają przekopywanie wejścia do Jaskini Snieżnej. Pomimo nieprzekopania wejścia poinformowano znajdujących się w jaskini o otwarciu otworu Snieżnej! Na głębokości ok. 130 m Ch. Parma schodzi w kluczu Dülfera 8-metrowym prożkiem do Sali z Waną. Na skutek lawinki kamiennej i zerwania liny następuje swobodny spadek, a w konsekwencji złamanie nogi. Do jaskini wchodzi natychmiast zespół: K. Byrcyn, E. i M. Kołodziejczykowie oraz A. Rajwa. Z jaskini wycofuje się samodzielnie, prusikując, Ch. Parma w towarzystwie E. Kołodziejczyka. Pozostali ok. godz. 13 docierają nad Studnię Szywały gdzie zastają J. Szlufińskiego i M. Zygmanski. W studni na linie wisi W. Szywała. Akcję utrudnia gwałtowny przybór wody. W czwórkę próbują, zakładając blocz-

\*Końcowego syfonu, stanowiącego dno Wielkiej Jaskini Snieżnej, nie osiągnięto. (Red.)

\* Jak stwierdzili ratownicy GOPR, w plecaku tym nie było ani jednej baterii. (Red.)



ki, wyciągnąć linę. Po zerwaniu pętli styłonowej, do której umocowany jest bloczek, zaniechują dalszych prób. Następuje odwrót. J. Szłuiński i M. Zygmanski po ok. 116 godzinach opuszczają jaskinię. 8 maja ok. godz. 14 z jaskini wychodzi ostatni uczestnik akcji ratunkowej, E. Ostapowski. Cała akcja, od zawiadomienia telefonicznego do jej zlikwidowania, trwała ok. 43 godzin, w samej zaś jaskini — 34 godziny. W akcji udział wzięło 43 ratowników, w tym w jaskini 12 ratowników.

Organizatorzy i uczestnicy gliwickiej wyprawy wykazali się brakiem doświadczenia potrzebnym do przeprowadzenia tak trudnej akcji jaskiniowej. Została ona błędnie rozwiązana taktycznie. Uwidocznili się brak oceny własnych możliwości oraz niedostateczne wyszkolenie techniczne. Źródła tych zjawisk należy szukać m. in. w niewłaściwej i niedostatecznej pracy zarządu klubu w ostatnich latach. Powstała przed kilku laty Federacja Alpinistyczna ZSP jest po prostu fikcją. Przyjęte 28 czerwca 1969 r. zasady zdobywania stopni szkoleniowych w pionie ZSP nie są przestrzegane. Klub nie wyciągnął właściwych wniosków z kilku mniejszych wypadków poprzedzających tę tragedię.

Wydaje się, że pora już na pewne pociągnięcia administracyjne zmierzające do sferderyzowania ruchu jaskiniowego oraz określenia rygorów organizacyjnych, szkoleniowych i wyprawowych. Sprawa ta wielokrotnie już podejmowana, musi zostać rozwiązana, jeśli chcemy zapobiec dalszym podobnym tragediom. Należy stwierdzić, że Grupa Tatrzańska GOPR nie jest przygotowana do prowadzenia szybkich akcji ratunkowych w trudniejszych technicznie jaskiniach. I tak wśród zakopiańskich ratowników nie ma ani jednej osoby znającej np. Jaskinię nad Kotlinami. A wiemy przecież, że znajomość jaskini jest podstawowym warunkiem przeprowadzenia szybkiej akcji ratunkowej. Zorganizowana przez Grupę Tatrzańską GOPR — w prawie dwa miesiące po wypadku — nieudana próba wydobywania zwłok była przykładem tego, jak nie powinna wyglądać akcja jaskiniowa. Okazuje się, że poprzednie wypadki jaskiniowe nie wpłynęły na poprawę sytuacji w GOPR. A więc i tutaj sytuacja dojrzała już do podjęcia odpowiednich decyzji. Niechaj tragedia ta będzie ostatnim już ostrzeżeniem dla wszystkich odpowiedzialnych za ten stan rzeczy.

## Wnioski z pierwszej akcji GOPR

KRYSTYNA SALYGA

W dniu 11 maja 1970 r., bezpośrednio po akcji ratowniczej w Jaskini nad Kotlinami, kierownictwo Grupy Tatrzańskiej GOPR zwołało naradę uczestników, której celem była wymiana poglądów na przebieg akcji oraz wyłonienie zespołu, który opracuje plan wydobywania zwłok Witolda Szywały. Niektóre fragmenty wypowiedzi są cenne i zasługują na przytoczenie:

**Michał Gajewski** (kierownik wyprawy): Dnia 6 maja o godz. 21.10 Pogotowie otrzymało meldunek od Adama Nikodema o groźnej sytuacji w jaskini. Meldunek brzmiał: jeden z uczestników przejścia jest osłabiony i wyczerpany, nie może poruszać się o własnych siłach. Znajduje się na głębokości ok. 330 m, przy nim są dwaj pozostali uczestnicy. Ratownicy wyruszyli z Zakopanego o 23.20. Założenia akcji ratowniczej były następujące: szybka dwójka złożona ze znających jaskinię Ostapowskiego i Parmy ma za zadanie dotrzeć do owej trójki i udzielić pomocy wyczerpanemu. Piątka w składzie: Roj, Rajwa, Byrcyn i dwóch braci Kołodziejczyków będzie posuwała się za nimi, organizując transport.

Sytuację sokuplikował wypadek Parmy na głębokości ok. 130 m. W wyniku zerwania się liny Parma spadł ok. 8 m łamiąc nogę. Nie mógł wskutek tego kontynuować zejś-

cia, lecz zaczął się wycofywać z pomocą E. Kołodziejczyka. Opóźniło to przebieg akcji i zmusiło ekipę do zmiany założeń. Zadanie szybkiej dwójki kontynuowali odtąd Ostapowski i Rajwa. Po wyjściu Parmy na powierzchnię — 7 lipca o godz. 17 — część ratowników musiała znieść poszkodowanego na bambusie do samochodu. Poczynania w jaskini utrudniała niezwykle woda. Wskutek ocieplenia na powierzchni, duże ilości wód roztopowych weszły do wnętrza, zalewając niektóre korytarze i tworząc potężne wodospady. Tak wielkiej ilości wody w jaskini nie pamiętał nikt z grotolazów. O godz. 15 ratownicy dotarli do Szłuińskiego i Zygmańskiego, którzy znajdowali się nad 70-metrową studnią. Trzeci grotolaz wisiał ok. 40 m niżej — w strumieniu wody, a ostatni kontakt z nim (Nikodema) miał miejsce przed 26 godzinami. Decyzja ratowników była szybka: rozgrzać grotolazów herbatą i pożywieniem, a następnie próbować wyciągnąć zwłoki. Szansa, że wiszący żyje — nie istniała. Po doprowadzeniu wyczerpanej dwójki do możliwości poruszania się o własnych siłach, próbowano wyciągnąć zwłoki — bez skutku. Zjazd do ciała był możliwy, lecz powrót ratownika przez kaskady wody — był bardzo problematyczny. Po telefonicznym porozumieniu się z kierownictwem wyprawy





Cwiczenia w ratownictwie jaskiniowym Grupy Tatrzańskiej GOPR.

Fot. Władysław Werner

zdecydowano pozostawić zwłoki i z żywymi wycofać się do góry. Decyzja taka była konieczna ze względu na stały przybór wody w jaskini, co groziło odcięciem całej ekipy. Z koncepcji odkopania otworu Snieżnej zrezygnowano, ze względu na ogromne ilości lodu.

**Rajwa:** Poziom wody w jaskini był zupełnie nienotowany — stwarzało to stale rosnące trudności.

**Ostapowski:** Gdy dotarłem do Szlubińskiego i Zygmańskiego, obaj czynili wrażenie niesfornych dzieci, które nie wiedzą, co robić. Siły odzyskali dopiero po ogrzaniu ich herbatą i wzmocnieniu pożywkami. Wyprawa GOPR była zorganizowana solidnie, a decyzja kierownictwa o pozostawieniu zwłok — jakkolwiek trudna — jedynie rozsądna. Ryzyko zjazdu do zwłok było szalone.

**Rajwa i Ostapowski:** Ani na moment nie wątpiliśmy, że pod nami wisi zmarły. Fakt pozostawiania od 26 godzin w potokach wody nie pozwalał co do tego na złudzenia. Przecież nawet na powierzchni, w warunkach suchych, szanse takie nie mogły istnieć. W czasie próby wyciągania zwłok pękła pętla. Wody przybywało z każdą godziną.

**Jagiello:** Nikodem miał lepsze warunki w czasie wychodzenia z jaskini, wody wtedy było znacznie mniej. Można się było porozumieć, podczas gdy my porozumiewaliśmy się szarpnięciem liny, czasem gwizdem. Przyznam, że zaskoczony i poruszony byłem zachowaniem się Szlubińskiego i Zygmańskiego po śmiertelnym wypadku towarzysza. Zachowywali spokój graniczący z cynizmem. Na drabinkach nie chcieli się asekurować...

**Salęga:** W grudniu ubiegłego roku „szybka czwórka“ dokonała zejścia z Kotlin do Snieżnej. W jej skład wchodził m.in. młodzi chłopcy z Zakopanego. W czasie tej wyprawy Klamerus miał wypadek — zawisnął głową w dół w jednym z kominów. Urato-

wali go silne ręce. Pod progiem Snieżnej oczekiwano 50 godzin na odkopanie otworu jaskini. Jak bardzo mało brakowało do podobnej tragedii! A jednak z historii tej nie wyciągnięto żadnego wniosku. Opinia była następująca: dokonany został świetny czyn.

**Strzeboński:** Przed laty odbyło się na Polanie Chochołowskiej seminarium poświęcone m.in. problematyce bezpieczeństwa akcji jaskiniowych. Na pewien czas uregulowano te sprawy. Obecnie trudna sytuacja się powtarza. GOPR chciałby się dogadać z kimś kompetentnym w tysiącach problemów jaskiniowych, niestety — nikt taki nie istnieje. Jesteśmy grupą ludzi trzeźwo myślących, ale cudu dokonać nie potrafimy. Mamy duże trudności ze sprzętem...

**Uznański:** Trzeba sobie zdać jasno sprawę z tego, że nasz sprzęt jest niemal całkowicie zniszczony. Smutne, że do takich wniosków dochodzi się po wyprawie, choć Pogotowie alarmuje od wielu lat. By móc skutecznie ratować — musimy m.in. uzupełnić sprzęt. Liny nie gwarantują bezpieczeństwa, nie mamy wełnianej odzieży ani nieprzemakalnych kombinezonów.

**Naczelnik Drągowski:** W sprawie wyposażenia poczynione zostały już pewne kroki. Sprawa została przedyskutowana na zebraniu Sekcji Ratownictwa Jaskiniowego, a nasze potrzeby przedstawiliśmy w GKKFiT.

\*

W dalszym ciągu narady szeroko omawiano konieczność ujednoczenia struktury organizacji jaskiniowych, stworzenia wspólnego kierownictwa, składającego się z ludzi odpowiedzialnych, ustawienia ruchu speleologicznego na zasadach podobnych, jak przyjęte w taternictwie powierzchniowym itp. Wyłoniono również zespół, który przystąpił do opracowania planu akcji wydobywania zwłok Witolda Szywały.



# Czy Szywała mógłby żyć?

BERNARD UCHMAŃSKI

Czwórka taterników jaskiniowych — Nikodem, Szłuiński, Szywała i Zygmański wraca Jaskinią nad Kotlinami do góry. W akcji są nieprzerwanie już trzy doby. Ze studni wychodzą po linach, używając pętli Prusika i tzw. małp. Do otworu zostało jeszcze ok. 300 m różnicy poziomów. Mają teraz do pokonania studnię liczącą 72 m, która składa się z dwóch odcinków — 12-metrowego dolnego i 60-metrowego górnego. Odcinki te oddzielone są od siebie półką o wymiarach ok.  $5 \times 2$  m, powodującą przewężenie i załamanie studni. Wygodna ta półka stanowi w pewnym sensie dno górnego odcinka. Powyżej studni 72-metrowej znajduje się następna, 45-metrowa.

Studnię 72-metrową jako pierwsi pokonują Nikodem i Szłuiński, potem idzie Zygmański. W czasie, gdy idący jako ostatni Szywała rozpoczyna prusikowanie studni 72-metrowej, Nikodem i Zygmański forsują już studnię 45-metrową. Na Szywałę oczekuje nad studnią 72-metrową Szłuiński. Po pewnym czasie woła on do Szywały. Ten jednak nie odpowiada, czy też daje znać, że ma kłopoty z wychodzeniem. Zaniepokojony Szłuiński przywołuje Nikodema i Zygmańskiego, którzy zdążyli już wejść nad studnię 45-metrową i zjeżdżają na powrót do Szłuińskiego. Nikodem, aktualnie najsilniejszy, najbardziej przedsiębiorczy i wykazujący najwięcej poświęcenia, zjeżdża do Szywały, by zorientować się w sytuacji. Do zjazdu używa liny sisalowej ok. 60 m długości. Półprzytomny Szywała wisi ok. 40 m poniżej górnego skrajka studni i nie jest w stanie wychodzić nawet z pomocą przesuwającego mu prusiki Nikodema.

*Nikodem daje Szywale kilka kostek cukru ze swego żelaznego zapasu, który zawsze nosi zabezpieczony folią w kieszeni, i zorientowawszy się, że Szywała nie ma już siły iść do góry, zabezpiecza go dodatkowymi pętlami w pozycji wiszącej, w ten sposób, aby możliwie najbardziej zluźnić ucisk pętli na klatkę piersiową. Następnie Nikodem szybko wychodzi nad studnię i wspólnie z kolegami opuszcza Szywałę do półki poniżej górnego odcinka studni, sztukując linę Szywały ową liną sisalową. Natychmiast jeden z trójki zjeżdża do Szywały, udziela mu pomocy, rozluźnia pętle, gotuje ciepłe pożywienie. Gdy Szywała czuje się nieco lepiej, zjeżdża sam pozostałe 12 m na dno studni, gdzie wraz z towarzyszem oczekiwac będzie nadejścia pomocy, po którą w tym momencie wyrusza pozostała dwójka. Szywała i opiekujący się nim towarzysze, nie mając sprzętu biwakowego, rozgrzewają się od czasu do czasu ruchem, trochę drzemką oparci o siebie. Wiedzą, że pomoc nadchodzi, że Ogaza odcięty za syfonem w Jaskini Zim-*

*nej przetrwał samotnie w podobnych warunkach 45 godzin. Po dwudziestu paru godzinach nadchodzi silna grupa ratowników i z jej pomocą, mimo wysokiego stanu wody, Szywała i jego towarzysz wychodzą szczęśliwie z jaskini.*

Sytuacja opisana powyżej jest w zgodzie z rzeczywistością do momentu, kiedy Nikodem zjeżdża do wiszącego Szywały i pomaga mu w przesuwaniu prusików. Dalszy opisany tutaj rozwój wydarzeń — wydrukowany kursywą — jest fikcyjny, stworzony przeze mnie, ale — jak się wydaje — mógł być w pełni realny.

Oczywiście wypadki mogły być potoczyć się jeszcze inaczej. Np. jeśli in chwili przybycia ratowników stan wody w jaskini zbyt utrudniałby pokonanie studni do góry, wówczas ratownicy poprzestaliby na dostarczeniu Szywale i towarzyszowi śpiworów, żywności i pomocy medycznej i poczekano by aż woda opadnie lub pomyślano by o poprowadzeniu akcji przez Śnieżną. Mógł Nikodem, stwierdziwszy, że w wyciągnięciu Szywały przeszkadza plecak uwiązany na końcu liny, odciąć linę poniżej Szywały i wtedy próbować wyciągnąć go do góry (zakładam, że Szywała nie wisił całkowicie bezwładnie, a jeśli wisił bezwładnie — nawet nie próbować wyciągnąć go do góry, tylko natychmiast spuścić na dno). Wreszcie jeśli z Szywałą można się było porozumieć, Nikodem nie musiał nawet zjeżdżać do osłabłego towarzysza, tylko po 2- do 3-minutowej próbie wyciągnięcia go, natychmiast opuścić go na dół.

Generalnym błędem, jaki popełnili trzej towarzysze Szywały, a zwłaszcza Nikodem, było pozostawienie partnera zbyt długo wiszącego na linie na pętlach Prusika. Podstawowym doraźnym ratunkiem, jakiego należało udzielić Szywale, było szybkie uwolnienie go od wiszenia i związanego z tym uciskiem, zwłaszcza na klatkę piersiową. Ratujący nie zdawali sobie widać sprawy z rzeczy kardynalnej,\* że wiszący Szywała z chwilą zasłabnięcia miał limit czasu na otrzymanie skutecznej pomocy w wymiarze ok. 10 minut, lub niewiele więcej. I w ciągu tego krótkiego czasu towarzysze powinni byli przede wszystkim nie pozwolić mu wisieć, a potem dopiero martwić się o dalsze losy. Trudnym do wybaczenia błędem było to, że Nikodem zdecydował się na samotne wyjście z jaskini po pomoc przed uwolnieniem Szywały od wiszenia. Tu decydowały minuty, nie usprawiedliwia więc tej decyzji zdjęcie liny stilonowej znad studni 45-metrowej, zrzućcie jej i zastąpienie sisalową. Opera-

\*I wykładanej na kursach dla początkujących taterników. (Red.)



cje te zmniejszały szanse Szywały, bo zabierały bezcenny czas. Szywała powinien być opuszczony przez wszystkich trzech towarzyszy — na owej linie sisalowej, której pełną przydatność można chyba założyć, skoro Nikodem zjechał na niej 30-40 m i wrócił prusikując do góry. Nikodem nie powinien być zostawić tej operacji — decydującej o życiu Szywały — w rękach mniej doświadczonych i bardziej wyczerpanych Szlubińskiego i Zygmańskiego, którzy się z niej nie wywiązali. Błędem z ich strony było również to, że w momencie kiedy Nikodem zrzucał linę znad studni 45-metrowej, żaden z nich nie wziął do ręki jej końca. W ten sposób unikneliby poszukiwać liny u stóp studni, poszukiwań zresztą bezskutecznych. W chwili, kiedy Szlubiński i Zygmański zrezygnowali z szukania liny (zakładam, że szukali jej z pełnym poświęceniem), dla Szywały praktycznie nie było już ratunku. Zresztą moment zwrotny miał miejsce wcześniej, kiedy Nikodem zdecydował się iść po pomoc, która mogła nadejść dopiero za ok. 20 godzin.

Jeszcze jedna uwaga szczegółowa. Nawet nie mając żadnej dodatkowej liny dobrze wyszkolony taternik mógł zszedłszy na „małpach” do Szywały po tej samej linie, na której ten wisiał, opuścić go w dół na raty, operując krótką linką, np. odciętą zbędną końcówką oraz „małpami”, prusikami i nożem.

Skupiłem się dotąd na jednym fragmencie zakończonej tragicznie gliwicko-zakopiańskiej wyprawy — na minutach bezpośrednio po zasląbnięciu Szywały, bo w tych chwilach trzech towarzysze Szywały mieli jeszcze szansę uratowania kolegi. Nie wyczerpałem wszystkich wariantów rozwiązania. Ideą każdego z nich powinno być szybkie (w ciągu kilku minut) uwolnienie Szywały od wiszenia na linie.

Ale na wypadek złożyło się szereg błędów natury ogólniejszej.

1) Błąd taktyczny: wybór złego terminu

na tak poważną wyprawę (okres wiosenny, możliwość roztopów).

2) Złe rozeznanie przez uczestników wyprawy własnych umiejętności i możliwości kondycyjnych. Wypadek zdarzył się po trzech dobach ciężkiej akcji pod ziemią, prowadzonej bez biwaku i bez sprzętu biwakowego, bo zakładano przejście bez obciążenia. Zmęczenie i wyczerpanie jeszcze bardziej pogarszało sytuację po wypadku. Gdyby tempo utrzymało się na tym samym poziomie, zanim zespół dotarłby do otworu, musiałaby upłynąć jeszcze jedna doba, czwarta z rzędu.

3) Pogoń młodych ludzi za wyczynem, która jest „chorobą wieku” zarówno w środowisku jaskiniowym, jak i w taternictwie powierzchniowym. Wypadek Szywały nie jest odosobniony. A przecież najlepsze umiejętności wspinania się po skale czy po linie nie wystarczą, gdy wyniknie sytuacja awaryjna i okaże się, że nie wiadomo jak się zachować. Że brakuje doświadczenia, odporności psychicznej, że brak wyobraźni, bez której nie ma prawdziwego taternictwa — ani jaskiniowego ani powierzchniowego, że brakuje, związanego zresztą z niedostatkami wyobraźni, szacunku dla jaskiń czy gór w ogóle, np. szacunku dla tzw. ekspozycji zupełnej, którą pod ziemią w dużych studniach spotyka się nader często.

Przyjmuję za oczywiste, że wszyscy trzej towarzysze Szywały, a zwłaszcza Szlubiński i Zygmański (o aktywności Nikodema już wspomniałem) wykazali maksimum dobrej woli i ofiarności w niesieniu pomocy Szywałowi, że na ich zachowanie nie miał wpływu nienajlepszy klimat w zespole przed wypadkiem, będący zresztą zapewne wynikiem przemęczenia.

Uwagi powyższe piszę na podstawie informacji uzyskanych od uczestników akcji ratunkowej — członków GOPR, jak też i niegoprowców. Niestety, nie udało mi się odbyć rozmowy z żadnym z trzech towarzyszy Szywały.

## Jedyna rada — federacja

BERNARD KOISAR

Historię taternictwa jaskiniowego winno się śledzić w nawiązaniu do taternictwa powierzchniowego, reprezentującego pełniejszy i bardziej rozwinięty obraz. Odległy w czasie początek obu dziedzin leży w odkrywaniu i poznawaniu gór oraz jaskiń. W miarę rozwoju techniki wspinaczkowej rozwinął się kierunek sportowy, który w ostatnich kilkunastu latach przekształcił się w nurt ściśle wycynowy. Traktowanie taternictwa jaskiniowego właśnie jako sport wycynowy winno być punktem wyjścia do rozważań związanych z sytuacją obecną i przyszłością ruchu jaskiniowego w Polsce.

Szybkie przejście od fazy odkryć do etapu wyczynu przy dość nieelastycznej strukturze organizacyjnej jest prawdopodobnie jedną z przyczyn kryzysu, jaki obecnie obserwujemy w ruchu speleologicznym. Ponawiające się na przestrzeni paru ostatnich lat — nie tylko zresztą w Polsce — wypadki jaskiniowe są tego oczywistym dowodem.

Pojawienie się nowego czynnika — rekordu — wykazało z jednej strony duże możliwości tkwiące w jednostce, z drugiej jednak bezlitośnie obnażyło indolencję organizacyjną całego ruchu jaskiniowego. Obserwacja zagranicznych środowisk jaskiniowych wy-



kazuje, że przed problemem tym znaleźliśmy się na równi z innymi organizacjami, a podjęcie zdecydowanych kroków zmierzających w kierunku jego rozwiązania wydaje się być wymogiem obecnej chwili nie tylko u nas.

W zaistniałej sytuacji jedynego radykalnego a zarazem szybkiego rozwiązania piętrzących się problemów związanych z żywiołowym rozwojem ruchu jaskiniowego w Polsce należałoby oczekiwać w powołaniu centralnych władz speleologicznych, czyli w federalizacji całego ruchu. Jedynie w ramach federacji, przy zachowaniu integralności poszczególnych organizacji jaskiniowych, można by zapewnić prawidłowy rozwój wyczynowego taternictwa jaskiniowego na równi z innymi jego kierunkami — naukowo-badawczym, eksploracyjnym jak również kwalifikowanej turystyki jaskiniowej, przy równoczesnej skutecznej kontroli w skali całego kraju. Idące w tym kierunku próby zreformowania struktury organizacyjnej taternictwa podziemnego były już u nas kilkakrotnie podejmowane, nigdy jednak nie wyszły poza fazę wstępnych konsultacji. Obecnie sprawa nabrzmiała tak dalece, że przejście do konkretnych posunięć staje się po prostu koniecznością.

Zanim to jednak nastąpi, warto odnotować kilka uwag wylaniających się na tle ostatniego wypadku, a wymagających uwzględnienia w późniejszych pracach reorganizacyjnych.

1. Federacja winna objąć wszystkie pionierzy organizacyjne na obszarze całego kraju i być podporządkowana centralnej władzy sportowej, tj. Głównemu Komitetowi Kultury Fizycznej i Turystyki — ewentualnie poprzez Klub Wysokogórski.

2. W łonie federacji należałoby utworzyć komisję ratownictwa jaskiniowego i zabezpieczenia wypraw — organ doradczo-kontrolny, mający za zadanie konsultowanie z kierownikami poważniejszych wypraw taktyki ataku, a także czuwanie nad zabezpieczeniem trudniejszych akcji grupą odwodową itp.

3. Konieczne jest znormalizowanie programu i zasad szkolenia oraz ujednoczenie sposobu uzyskiwania stopni sportowo-organizacyjnych.\*

4. Zespołowy charakter sportu jaskiniowego wymaga jednoosobowego kierownictwa wypraw, powierzanego ludziom legitymującym się dużym doświadczeniem oraz umiejętnością taktycznego opracowania i przeprowadzenia akcji. Różnorodność czynników warunkujących powodzenie akcji jaskiniowych

ze względu na umiejętność dobrania zespołu, długotrwałość akcji, wieloosobowość (łącznie z grupą odwodową) oraz konieczność podejmowania trudnych decyzji w trakcie samego działania, stawia wysokie wymagania wobec osoby kierownika, które winny być usankcjonowane odpowiednim stopniem np. instruktora taternictwa jaskiniowego.

5. Stosowany obecnie na świecie system prowadzenia akcji jaskiniowych przez niewielkie operatywne zespoły o wysokich kwalifikacjach sportowych jest niewątpliwie słusznym kierunkiem rozwoju taternictwa podziemnego jako sportu wyczynowego. Gwarantuje on jednocześnie możliwość ustanawiania nowych rekordów przy stosunkowo nie zmniejszonym walorze odkrywczym wypraw. Należy jednak podkreślić z całą stanowczością, że system ten wymaga wyjątkowo precyzyjnego przygotowania przedsięwzięcia i drobiazgowego przestrzegania zasad asekuracji, nawet kosztem tempa akcji.

6. Zaskakujący jest fakt braku analizy dotychczasowych wypadków i systematycznego zaznajamiania grona osób uprawiających taternictwo jaskiniowe z ich przyczynami, co pozwoliłoby na wyciągnięcie wniosków oraz pełne wykorzystanie dotychczasowych doświadczeń. Ograniczenie się do oficjalnych protokołów przy równoczesnym pozostawieniu niejasnych punktów w sferze domysłów i niedopowiedzeń stwarza nie tylko sytuację nieładu organizacyjnego ale również możliwość popełniania identycznych błędów przez inne zespoły.

7. Analiza wypadków śmiertelnych w jaskiniach (nie tylko polskich) na przestrzeni kilku ostatnich lat wykazuje, że główną ich przyczyną jest nie brak umiejętności w pokonywaniu trudności technicznych, lecz długotrwałość akcji podziemnych i wynikająca z tego możliwość skrajnego wyczerpania organizmu. Ustalenie granicy wytrzymałości i możliwości szybkiej adaptacji organizmu w warunkach dużego wysiłku w czasie akcji prowadzonych w jaskiniach stanowi wielokrotnie temat prac lekarzy, fizjologów i psychologów. Uważam za wskazane wykorzystanie istniejących opracowań tego rodzaju.

8. W zreformowanym systemie organizacji ruchu jaskiniowego w Polsce winno się nie tylko analizować przyczyny wypadków, ale wraz z daleko idącym wyciąganiem wniosków stosować wobec winnych surowe sankcje dyscyplinarne.

Przytoczone zagadnienia nie wyczerpują oczywiście całego kompleksu problemów, wymagających szerokiego kolektywnego opracowania. Smutne refleksje nasuwa fakt, że potrzeba było dopiero kolejnego śmiertelnego wypadku, ażeby odnowić stare dyskusje, które winny być przecież poprzedzone wnikliwym przeanalizowaniem istniejącej sytuacji w obrębie środowiska jaskiniowego i przedstawione na forum publicznym w atmosferze spokoju, a nie wywołanego tragedią podniecenia, mającego jak zawsze posmak sensacji.

\* Uregulowanie tej sprawy stanowi, naszym zdaniem, jedno z najpilniejszych zadań, a jego rozwiązanie mogłoby nastąpić jeszcze przed powstaniem federacji ruchu jaskiniowego — choćby przez utworzenie międzyklubowego organu koordynującego i nadzorującego szkolenie. W artykułach prawowych omawiających ostatni wypadek powtarzało się stwierdzenie, że trzech spośród czterech uczestników niefortunnej wyprawy do Wielkiej Jaskini Śnieżnej posiadali stopnie instruktorskie. Chcielibyśmy postawić pytanie, kto i w jakim trybie stopnie te im nadał, skoro wykazali oni tak żenujące braki w wyszkoleniu speleologicznym. (Red.)



# Tragedia pod Huascaraniem

JERZY JAGODZIŃSKI

23 kwietnia 1970 r. o godz. 22 wieczorem odleciała z Pragi czechosłowacka wyprawa w Cordillera Blanca. Czechosłowaków dotychczas w Andach Peruwiańskich nie było. 15-osobowa grupa, prowadzona przez znanego alpinistę i pisarza górskiego dra Arnošta Černíka, miała szerokie i bogate plany. W programie było m. in. wejście na południowy wierzchołek (6655 m) Huascarán, przebycie nie pokonanej dotąd południowej ściany Huandoy (6395 m), wejście wschodnią granią na Alpamayo (6100 m). Oprócz tego planowane były wejścia na dziewicze szczyty i nietknięte ściany w rejonie Cordillera Huayhuash, a także w północnej partii Cordillera Raura. Skład osobowy wyprawy dawał gwarancję osiągnięcia pełnego powodzenia. Byli tam członkowie uwieńczonych sukcesami wypraw w góry lodowcowe, byli świetnie wspinacze z doświadczeniem zdobytym nie tylko u siebie w kraju. Poza celami alpinistycznymi, wyprawa miała zorganizować w Limie wystawę prac fotograficznych Wiléma Heckla, obrazujących piękno Czechosłowacji, a także zebrać materiały geograficzno-przyrodnicze i folklorystyczne do książki podróźniczej o Peru, której autorami mieli być Arnošt Černík, Vilém Heckel i Valerian Karoušek.

Pełne dwa tygodnie oczekiwali uczestnicy w Limie na bagaż wyprawy. W tym czasie przyjechali tam Japończycy — także z zamiarem rozbięcia obozu pod Huascaraniem. 12 maja wyprawa znalazła się w Huaraz, skąd niebawem wyruszyła w Cordillera Blanca — przepiękne gniazdo górskie, w Polsce spopularyzowane książką G. Kogana i N. Leininger „Białe Kordyliery” („Sport i Turystyka” 1961). Już w dzień później alpinści czechosłowaccy rozbili obóz bazy na wysokości 3850 m — w pobliżu jeziora Yanganuco, gdzie już uprzednio obozowały liczne wyprawy<sup>2)</sup>. Rozpoczęto od ataku na południową ścianę Huandoy. 18 maja wydarzył się nagle tragiczny wypadek. W czasie zejścia z obozu wysuniętego pod Huandoy pośliznął się na mokrej perci świetny wspinacz słowacki, Ivan Bortel, i spadłszy kilkadziesiąt metrów poniósł śmierć na miejscu. Pochowano go w pobliskiej osadzie Yungay przy licznych udziałach miejscowej ludności.

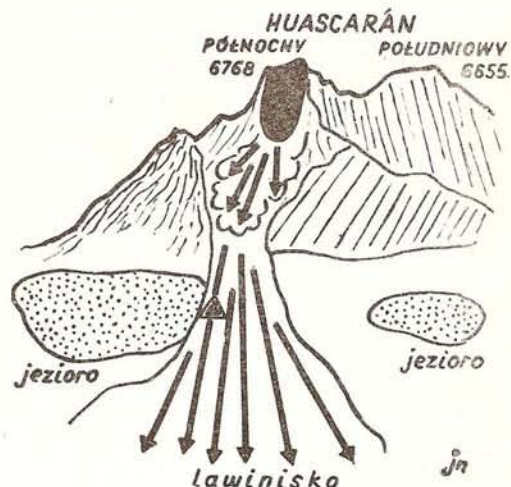
Trzęsienie ziemi w Peru zanotowano 31 maja 1970 r. o godzinie 15.24. W dniu 2 czerwca część prasy peruwiańskiej podała wiadomość, że wstrząsy pogrzebały również wyprawę czechosłowacką, jednakże twierdząc to opierało się na domniemaniu pochodzącym stąd, że miasteczko Yungay nie odpowiadało na próby połączenia telefonicznego. Tymczasem Yungay<sup>3)</sup> nie mogło się zgłosić, gdyż już po prostu nie istniało. W dniu 5 czerwca kierownik wyprawy japońskiej,

Sasaki, skierował do czechosłowackiej placówki dyplomatycznej radiową wiadomość, potwierdzającą przypuszczenia gazet: wszyscy alpinści czechosłowaccy zostali zasypani lawiną, która zeszła na skutek trzęsienia ziemi. Lawina zsunęła się spod samego północnego wierzchołka Huascaranu i pokryła obóz bazy warstwą grubości około 8 m. Spiętrzone zwaly ziemi, lodu, bloków skalnych i błota z góry przekreślały jakąkolwiek akcję poszukiwawczą. Na miejsce tragedii udały się wyprawy ratunkowe — peruwiańska i chilijska, które dotarły do jeziora Yanganuco. Ogromne lawinisko zajmowało obszar około 2 km kwadratowych. Ratownicy stwierdzili, że wydobyć ciała alpinistów jest zupełnie niewykonalne<sup>3)</sup>.

Historia alpinizmu notowała już tych rozmiarów katastrofy górskie, nigdy jednak chyba nie zdarzyło się, ażeby śmierć poniosła cała duża wyprawa — bez jednego wyjątku<sup>4)</sup>. Tragedia pod najwyższym szczytem Peru jest niepowetowaną stratą dla alpinizmu czechosłowackiego, zarazem jednak i dla całej kultury czechosłowackiej, w której nazwiska Černíka czy Heckla, jednego z najznakomitszych fotografików górskich świata, mają swoje trwale miejsce. Niezłaskę to poruszyło do głębi także polski świat taternicki, czego skromnym wyrazem były słowa depezy kondolencyjnej wysłanej przez Klub Wysokogórski. Niedawno temu powrócili do Czechosłowacji z Peru członkowie rodzin kilku zaginionych pod Huascaraniem. „W obliczu tego, cośmy zobaczyli w Peru — powiedziała żona Karouška — nasze nieszczęście wyda się łatwiejsze do zniesie-

Szkic miejsca katastrofy sporządzony przez alpinistów japońskich. Trójkątem oznaczono położenie bazy wyprawy czechosłowackiej, ciemną plamą — zarys obrywu lawinowego.

Wg. „Haló-Sobota”





nia. Kraj jest tam przepiękny (...), dziki, jest to rzeczywiście jeden z najwspanialszych zakątków Ziemi. Powiedzieliśmy sobie, że jeśli człowiek ma mieć piękne miejsce wiecznego odpoczynku, to to właśnie jest jednym z najpiękniejszych, jakie w ogóle istnieją."

1) W książce tej znajdują czytelnicy dobre i dość szczegółowe mapki rejonu Huascaranu.

2) Pisownię tę stosują różne źródła, włącznie z cytowaną książką „Białe Kordyliery”. Prasa czesnoślowska używa formy „Llanguaco”.

3) Jedynym naocznym świadkiem lawiny był wieśniak peruwiański, znajdujący się w odległości ok. 3 km. Usłyszał on najpierw okropny huk, a potem zobaczył, że „cały Huascarán wali się na niego”. W trwodze wbiegł na zbocze góry i schował się za pień sosny. Jęzor lawiny przeszedł jednak bokiem.

4) W r. 1962 zeszła z Huascaranu lawina skalno-lodowa, która zniszczyła 12 wsi i uśmierciła 4000

Arnošt Černík  
Vilém Heckel  
Svatopluk Ulvr  
Ivan Bortel  
Milan Černý  
Jiří Jech  
Valerian Karoušek  
Jaroslav Krebáč

Miloš Matras  
Ladislav Mejsnar  
Milan Náhlovský  
Bohumil Nejedlo  
Zdeněk Novotný  
Jiří Rásl  
Václav Urban

ludzi. Katastrofę tę wzmiankuje A. Černík w książce „Zeměpis velhor” (1969).

5) Tragedię tego miasta (32 000 ofiar!) pokazała nasza telewizja w wyświetlonym 26 sierpnia filmie dokumentalnym.

## W skrócie

● 1 sierpnia 1970 r. Telewizja Polska wyświetliła film dokumentalny „Zdobycie Everestu” — z lordem Huntem w roli głównej.

● W dzienniku „Sowietskaja Sibir” z dnia 24 czerwca 1970 r. ukazał się duży trzyszpaltowy artykuł W. Mieńszikowa p.t. „Alpiniści Wertkalea w Polsce” (por. „Taternik” 2/1970 s. 80) — nie szczędzący miłych słów naszemu krajowi i polskiemu ruchowi wysokogórskiemu.

● Biuro Deutscher Alpenverein w Monachium zatrudnia 24 pracowników etatowych, którzy z trudem mogą podjąć stałe rosnące lawinie spraw, jaka się na centralę zwała.

● Góry Austrii posiadają 690 schronisk z 30 000 miejsc noclegowych. 270 schronisk należy do ÖAV, 176 do TV Naturfreunde, 133 do DAV (4), 57 do ÖTK.

● Pięć przejść ma już amerykańska dirttissima zachodniej ściany Petit Dru (Hemming — Robins 1962).

● Znany alpinista bułgarski Enzo Petkov nakręcił film „Na Dachy Świata — zdobycie Szczytu Rewolucji”, obrazujący wspinaczki w Pamirze.

● Po długich przygotowaniach (25 XII — 10 I), piątka alpinistów szwajcarskich dokonała w dniach 20—25 I 1970 r. I zimowego przejścia drogi japońskiej na północnej ścianie Eigeru („Taternik” 1/1970 s. 8).

● Czwerej Japończycy przeszli jako drugi zespół w zimie drogę klasyczną na północnej ścianie Eigeru (19—27 I 1970 r.). Inna grupa japońska dokonała w marcu powtórzenia dirttissimy tejże ściany (tzw. drogi J. Harlina).

● „La Montagne” avril 1970 odnotowuje na s. 272 polską drogę północną ścianą Aiam Kuh.

● Stulecie istnienia obchodzili 1 maja 1970 r. „Sektion Prag des Deutschen Alpenvereins”. Została ona założona w r. 1869 w Pradze czeskiej, a w 1950 reaktywowana w... Monachium. W uroczystościach uczestniczyły zaprzyjaźnione sekcje, m.in. „Niemców sudeckich”. *OeAV-Mitteilungen* 7-8/1970.

● W Szwajcarii ukazała się nowa mapa topograficzna rejonu Matterhornu (4477,5 m) — po raz pierwszy w skali 1:25 000.

● W początku lata 1970 r. członkowie Kola Naukowego Geodetów Górniczych AGH w Krakowie przeprowadzili na Kasprowym Wierchu prace pomiarowe związane z projektem budowy tunelu łączącego stację kolejki kablowej ze stacją wyciągu krzesełkowego z Doliny Gorczykowej. Według autora koncepcji, mgra inż. J. Osmołskiego, połączenie ma mieć 120 m długości (w tym 48 m naziemnej galerii). Pomysł wzbudził liczne obiekcje i sprzeciw.

● Od r. 1953 ciągnęła się odbudowa i rekonstrukcja Zamków Orawskich — bezcennego obiektu, tak silnie związanego z historią Tatr Zachodnich. Urządzone tam muzeum obejmuje m.in. przyrodę rejonu Rohaczy.

● Maria Krzeptowska obchodziła minione lata 40-letnie pracy w schroniskach tatrzańskich, która rozpoczęła w r. 1930 — w tej samej Dolinie Pięciu Stawów, w której i dzisiaj gazduje.

● „Goście są bardzo liczni, nie ma prawie domu niezajętego, a nowi co dzień przybywają, stąd mieszkania są dosyć drogie”. Tak pisał Seweryn Goszczyński z Zakopanego w r. 1873 — w tym samym, w którym według powszechnego mniemania „odkrył” Zakopane Tytus Chałubiński.

● Znany bułgarski chór alpinistyczny „Planinska Pesen” wy-

stępował w czerwcu 1970 r. w Dreźnie w NRD.

● W letnim zeszycie „La Montagne” (juin 1970) kontynuowane są bardzo interesujące rozważania na temat alpejskiej techniki lodowej, zapoczątkowane w roku zeszłym.

● Zapalonym turystą alpejskim był w latach młodości Sir Winston Churchill. Ostatnio znaleziono w Szwajcarii zapis stwierdzający jego wejście w r. 1893 na Monte Rosa.

● 11 sierpnia 1969 r. swe trzechsetne wejście na Mont Blanc świętował przewodnik René Claret-Tournier — potomek słynnego dra Paccarda.

● Znane nam małżeństwo, Isabelle i Henri Agresti („Taternik” 1-2/1965), dokonało I zimowego przejścia drogi Contamine’a północną grzędą Mont Blanc du Tacul (29—30 XII 1969).

● Bracia A. i G. Rusconi poprowadzili nową niezwykle trudną drogę północno-wschodnią ścianą Piz Badile (14-18 III 1970). Droga wiedzie na lewo od słynnej drogi R. Cassina z r. 1937.

● Mało znane regiony górskie pasma Atlasu prezentuje „La Montagne” avril 1970. Pisze Michael Peyron.

● K. Klecko z Leningradu dokonał 2 sierpnia 1969 r. zjazdu na nartach ze Szczytu Lenina. W czasie zjazdu nocował w obozie 6800 m. Poniżej 4200 m lodowiec nie nadawał się do zjazdu.

● Kolejne spotkanie klubu Rendez-vous Hautes Montagnes odbyło się w kwietniu w Alpach Zillertalskich. Na rok 1971 Klub planuje wyprawę w Himalaje w rejon Kulu.

● Niemiecką szkołę alpinizmu w Bolzano we Włoszech utworzył Reinhold Messner i Hendrik van den Driesch. Kierownikiem szkoły został znany filmowiec i pisarz górski, Luis Trenker.



# Górskie lato 1970

W minionym sezonie letnim działalność zagraniczna (i pozatatrzańska zarazem) Klubu Wysokogórskiego była nieco mniej rozległa, aniżeli w roku ubiegłym, niemniej zrealizowanych zostało kilkanaście wyjazdów i wypraw, które objęły tereny od Alp Francuskich aż po Pamir i góry Turcji, a jeśli chodzi o uczestników — łącznie około 100 osób, co daje 5% ogółu członków Klubu. A oto zestawienie imprez — w kolejności wyjazdów:

1. W Kaukazie bawiła 14-osobowa grupa turystyczno-alpinistyczna, kierowana przez Stanisława Worwę, omówiona szczegółowo w tym numerze „Taternika“.

2. 2 lipca opuściła Warszawę 8-osobowa wyprawa kierowana przez Andrzeja Zawadę, która wraz z kolegami z nowosybirskiego „Wertikala” prowadziła działalność w Pamiro-Ałaju oraz w Pamirze. Powrót do kraju nastąpił 25 sierpnia.

3. Na staż instruktorski w austriackiej Hochgebirgsschule Glockner-Kaprun wyjechało 2 delegatów KW — Henryk Furmaniak i Marian Kata.

4. Obozem wyciecznym w Alpach francuskich (Chamonix) kierował Jerzy Michalski. Działalność rozpoczęto ok. 20 lipca, grupa wróciła do kraju 14 sierpnia.

5. 21 lipca wyjechała na miesięczny pobyt w Prokletije (Jugosławia) 5-osobowa ekipa pod kierownictwem Jerzego Brudnego. Powrót nastąpił 19 sierpnia.

6. W góry Turcji wyjechała 24 lipca 10-osobowa wyprawa Koła Łódzkiego, kierowana przez Władysława Manduka. Uczestnicy dokonali ciekawych wejść i spenetrowali nowe dla Polaków rejony.

7. Koła Szczecińskie i Beskidzkie wobec niemożności otrzymania wiz norweskich

zmieniły cel wyjazdu na Alpy austriackie. 5-osobową grupą szczecińską kierował Stefan Matalewski, grupą beskidzką (również 5 osób) — Jan Weigel.

8. W Dolomity wyjechało na obóz wycieczny 6 alpinistów (kierownik Ryszard Zawadzki). Działalność rozpoczęto w pierwszych dniach sierpnia w Pale di San Martino. Grupa wróciła do kraju 2 września.

9. Druga z kolei wyprawa KW do jaskini Gruberhornhöhle w Austrii wyjechała 4 sierpnia w składzie 11 osób, pod kierownictwem Ch. Parmy.

10. Nie zdoławszy pokonać formalności związanych z planowaną wyprawą do Afganistanu i Turcji, 6-osobowa grupa kierowana przez Tadeusza Rewaja wyjechała 5 sierpnia w Alpy Julijskie, gdzie prowadziła działalność sportową w rejonie Jalovca.

11. Andrzej Marczak prowadził 5-osobową wyprawę Koła Warszawskiego KW w góry Iranu. Powrót nastąpił 19 września.

12. W połowie sierpnia wyjechała w masyw Grossglocknera 4-osobowa grupa pod kierownictwem Zofii Steckiej z Zakopanego.

13. W dniu 29 sierpnia udała się do Rumunii 3-osobowa grupa pod kierownictwem Adama Uznańskiego.

14. W dniach 26 sierpnia — 2 września bawiła w Bułgarii Hanna Wiktorowska, która reprezentowała KW na obchodach 75-lecia zorganizowanej turystyki bułgarskiej. Również „uroczystościowy” charakter miał wyjazd Leszka Łackiego i Zbigniewa Świątkowskiego do Bułgarii zaplanowany na koniec września.

Barbara Czaykowska

## Próba podsumowania

Nie pora jeszcze na próbę całościowej oceny sezonu letniego 1970, już jednak można stwierdzić, że — podobnie jak poprzednie — przyniósł on naszemu Klubowi osiągnięcia o dużej i trwałej wartości. Mimo iż wyprawa nasza w Pamiro-Ałaj nie dała oczekiwanych wyników, w zakresie działalności odkrywczej na pierwszym miejscu postawić trzeba jej sukces: pierwsze w ogóle wejście na Szczyt Fedczenki (ok. 5400 m) — wierzchołek o dużej samodzielności i znacznych trudnościach technicznych (T. Łaukajtyś, J. Kiejkowski oraz 2 alpinistów radzie-

ckich). W rejonie Szczytu Lenina bawiły 2 polskie grupy — z KW i PKG. Druga z nich dokonała pierwszych wejść na 3 dziewicze dotąd wierzchołki, z których jeden otrzymał nazwę „Pik Poronin”. W ramach obu tych wypraw podniesiony został znacznie rekord wysokościowy polskiego alpinizmu kobiecego: na Szczycie Lenina stanęły w 2 wejściach 3 nasze alpinistki — jedna z PKG i dwie z KW.

10 września z Ankary nadeszła wiadomość o osiągnięciach grupy A. Marczaka (m.in. nowa droga na Haft Chan od północy).



Jeśli chodzi o działalność sportową, odnotowujemy kilkanaście nowych dróg z Tatr, w tym kilka rzeczywiście wartościowych, jak np. na Małym Młynarzu. Dalsza polska droga przybyła w Dolomitach — w słabo dotąd poznanym rejonie Monti del Sole (wschodnia ściana Cima del Tizon). Nieoczekiwanie zaplonowały wyjazdy w góry Jugosławii, gdzie nasi koledzy dokonali szeregu pierwszych przejść — m.in. środka wschodniej ściany Jalovca (M. Jagiełło i T. Piotrowski).

Na czoło osiągnięć sportowych roku wysuwa się jednak zdecydowanie sukces odniesiony przez obóz KW w Chamonix: poprowadzenie nowej wspaniałej drogi w mu-

rze Grandes Jorasses — na Pointe Hélène od północy (E. Chrobak, J. Poręba i W. Wróż). Ze względu na klasę drogi a także sławę ściany, wyczyn ten szeroko podchwyciła prasa zachodnia, czego niestety nie można powiedzieć o prasie krajowej. Niewątpliwym sukcesem zakończył się też wyjazd grotolazów do Austrii, który przyniósł „pogłębienie“ Gruberhornhölle do 854 m. Przysłuzylimy się co prawda rywalce naszej tatrzańskiej Śnieżnej, która spada znowu o jeden szczebelek i przestaje być „najgłębszą jaskinią na wschód od Francji i Włoch“ — ważne jest jednak, że w dokonaniu tego przesunięcia uczestniczyły siły polskie.

Józef Nyka

## KAUKAZ — lipiec 1970

STANISŁAW WORWA

Obóz Klubu Wysokogórskiego w Kaukazie w miesiącu lipcu 1970 r. został zorganizowany na zasadzie wymiany uczestników z Instytutem im. Baumana z Moskwy, którego ekipa bawiła w Polsce w zimie 1969/1970 r. Z naszej strony w wyjeździe wzięło udział 14 osób o nader różnym stopniu zaawansowania alpinistycznego. Oto nazwiska: Grażyna Chrobak, Jan Dajnowski, Tytus Dziegielewski, Zofia Gerlach, Jan Holnicki, Aleksandra Łaptaś, Piotr Malinowski, Henryk Piecuch, Andrzej Popowicz, Antoni Sidorowicz, Ryszard Szafirski, Stanisław Worwa (kierownik), Janina Zygadlewicz i Adam Zyzak.

Grupa została zakwaterowana w obozie „Dżantugan“ w dolinie Adyl-su, położonym na wysokości 2200 m i stanowiącym ośrodek rekreacji sportowej dla członków Instytutu i dla młodzieży. Ta część Kaukazu Centralnego i obozy leżące w dolinie Adyl-su, to jest „Dżantugan“, „Szchelda“ i „Elbrus“, były już w różnych latach terenem działalności Polaków. Nasz obóz nie miał zadań wyczynowych, co było spowodowane m. in. aktualnym brakiem służby ratowniczej w obozie „Dżantugan“. W tej wyjątkowej dla siebie sytuacji gospodarze zwrócili się do grupy polskiej z prośbą o zaniechanie przejść dróg przekraczających trudności 3A. Jeżeli w trakcie wspinaczek udało nam się uzyskać życzliwe odstępstwa od tej zasady, stało się to możliwe tylko wskutek zaufania, jakiego nabrali do nas nasi radzieccy przyjaciele,

obserwując sprawną i bezawaryjną działalność naszych zespołów.

### 12 dni pogody

Pobyt grupy na terenie gór wysokich obejmował okres 19 dni, w tym niestety 7 dni z ciągłymi lub przelotnymi opadami, które m. in. przerwały trawersowanie grani Bzeducha (4272 m) i Szczytu Wolnej Hiszpanii (4200 m). W ciągu 12 dni dobrych warunków meteorologicznych udało się uczestnikom wejść na 7 szczytów osiągających lub przekraczających wysokość 4000 m. Trzeba podkreślić dużą liczebność zespołów, które wchodziły na poszczególne wierzchołki: J. Holnicki, P. Malinowski, R. Szafirski i A. Zyzak byli na wszystkich siedmiu, na pięć z nich weszli J. Dajnowski, A. Łaptaś, A. Popowicz i St. Worwa. Reszta uczestników obozu osiągnęła po 4 wierzchołki. W efekcie liczba osób, które stanęły na poszczególnych szczytach przedstawia się następująco:

Dżantugan (3991 m, 2A) — 14 osób (wszyscy)

Bzeduch (4272 m, 3B) — 9 osób

Pik Hermogenowa (ok. 4000 m, 3A) — 9 osób

Elbrus, wierzchołek wschodni (5596 m, 2A) — 14 osób

Elbrus, wierzchołek zachodni (5633, 2A) — 7 osób

Kurmyczy (4058 m, 1A) — 12 osób





Uszba — wschodnia grań północnego wierzchołka.

Fot. Ryszard Szafirski

Uszba, wierzchołek północny (4695 m, 4B) — 6 osób.

Plateau Uszby (4A) — 8 osób

Jak z tego widać, 12-dniowy okres dobrej pogody został bez reszty zużytkowany na działalność alpinistyczną. Więcej: dni deszczowe zdolano częściowo wykorzystać na dojścia po lodowcach do biwaków stałych, jak Zielonaja Gostinica, Ryżyje Skaly czy Prijut Szcheldy pod Uszbą.

Jeśli idzie o przejścia, które wzbudziły większe zainteresowanie środowiska alpinistów radzieckich, należy wymienić przede wszystkim dwa:

1) trawersowanie w jednym dniu obydwu wierzchołków Elbrusa, dokonane przez 2 niezależne zespoły — A. Laptaś, J. Holnickiego, P. Malinowskiego, R. Szafirskiego i A. Zyzaka (17 lipca) oraz J. Dajewskiego i S. Worwę (18 lipca).

2) Wejście na północny wierzchołek Uszby 4695 m granią wschodnią z Plateau Uszbijskiego przez tzw. Poduszkę (4B), dokonane 23 lipca przez zespoły w składzie P. Malinowski, R. Szafirski i S. Worwa, oraz J. Holnicki, A. Popowicz i A. Zyzak. Na Plateau Uszbijskim na grupę szczytową oczekiwali A. Laptaś i A. Sidorowicz.

### Osiągnięcia poznawcze

W wyniku działalności grupy poznano dokładnie kilka dolin wraz z ich otoczeniem. W czasie pierwszej wyprawy na Dżantugan zwiedzono część doliny Dżantugan oraz Dżantugańskie Plateau. Wejścia na Bzeduch i

Szczyt Hermogenowa stały się okazją do poznania całego basenu lodowca Kaszka Tasz, a także górnej części lodowca Bzeduch — po zachodniej stronie grani. W trakcie wyjazdu mającego na celu poznanie terenów turystyczno-wczasowych w otoczeniu miejscowości Tereskoł zwiedziliśmy piękne tereny narciarskie na wzniesieniach Azau Giteze, skąd ma się doskonalą wgląd w ściany niedalekich olbrzymów kaukaskich — Donguz-Orunu (4468 m) i Nakra Tau (4451 m). Wyprawa na Elbrus natomiast pozwoliła nam doskonale poznać ten masyw od strony południowej. Bardzo pouczające, jeśli chodzi o topografię Centralnego Kaukazu, było też wejście na Uszbę, prezentujące basen lodowca Szcheldy i Plateau Uszbijskie o jedynym w swoim rodzaju, prawdziwie himalajskim charakterze.

Niestety nasz piękny pobyt w górach Kaukazu szybko się skończył. W dzień po powrocie z Uszby, tj. 25 lipca, nastąpiła likwidacja obozu i odjazd autobusem do Piatigorska, skąd grupa powróciła pociągiem przez Kijów do Warszawy.

Z całej ekipy tylko 2 osoby widziały już kiedyś Kaukaz — pozostałe miały możliwość oglądać go po raz pierwszy. Wrażenie było naprawdę ogromne. Szczególnie ciepłe wspomnienia pozostawiły nam niezwykle serdeczne stosunki, jakie nawiązały się między naszą grupą a radzieckimi organizatorami pobytu w obozie „Dżantugan“. Ich finałem był uroczysty bankiet wydany przez gospodarzy w przeddzień wyjazdu, połączony z wymianą



proporczyków, upominków i pamiątek. Głębokiej węzi od lat łączące alpinistów polskich i radzieckich zostały przy okazji tego naszego kolejnego spotkania z Kaukazem jeszcze bardziej zacieśnione i ożywione.

## Wnioski

Tak więc nasz 19-dniowy pobyt na Kaukazie podzielił się na dwa etapy: okres wstępny, polegający na łatwych wejściach szczytowych, pozwalających mniej doświadczonym zdobyć niezbędne obycie z górami lodowcowymi, a wszystkim uczestnikom odpowiednią aklimatyzację, i etap drugi — już o charakterze bardziej wyczynowym, gruntujący zdobyte umiejętności techniczne i poszerzający znajomość samych gór.

Przy następnych wyjazdach tego typu, a nastąpią one miejmy nadzieję niebawem, należałoby uczestnikom bawiącym po raz pierwszy w górach lodowcowych zapewnić opiekę instruktorów klubowych, co najłatwiej dałoby się zrealizować stosując dla kadry pew-

ne ulgi w odpłatnościach. Przy naszym wyjeździe ulg takich nie przewidziano, wskutek czego koledzy o kwalifikacjach instruktorskich nie czuli się zobowiązani do świadczenia usług dydaktycznych na rzecz alpinistów początkujących. Regulując z góry tę istotną sprawę doprowadzimy do sytuacji, że obozy kaukaskie nabiorą charakteru wyczynowo-wszkoleniowego i pozwolą zapewnić adeptom maksymalne warunki bezpieczeństwa. Przygodkowe łączenie grup wspinaczy o różnym poziomie przygotowania i doświadczenia w praktyce nie zdaje egzaminu, chyba że poparte jest więzami osobistej przyjaźni. Z uwagi na wielkość Kaukazu i jego obiektywne niebezpieczeństwa, a także obowiązujące w tamtejszych obozach dość rygorystyczne przepisy regulujące działalność wspinaczkową, szczególnie troskliwie należałoby dobierać kandydatów do przyszłych wyjazdów, stanowczo wykluczając wszelkie zbyt wybujałe indywidualności oraz osoby, które w ten czy inny sposób wchodziły już w kolizję z normami współżycia przyjętymi w naszym Klubie.

## Trawersowanie Bzeducha

Mamy wielką ochotę przejść grań Bzeducha i Szczytu Wolnej Hiszpanii. Gorączkowo pakujemy plecaki i wraz z pozostałymi zespołami, mającymi nieco inne plany, podchodzimy w niecałe dwie godziny do Ryżych Skał, gdzie szybko rozstawiamy naszą wygodną „pamirkę”. Gotujemy kolację i uzgadniamy z zespołami Ryśka i Adama, którzy mają robić grań samego tylko Bzeducha, że w ścianę wejdziemy tuż po nich.

Pobudka o godzinie 2, a o 4 jesteśmy pod śnieżnym kuluarem, którym droga wyprowadza na grań. I tu spotyka nas pierwsze rozczarowanie. W kuluarze panuje straszliwy tłok. Oprócz naszych trzech zespołów (razem 9 osób), jest jeszcze cała gromada alpinistów radzieckich, których szóstka, po oberwaniu spadającymi kamieniami, właśnie się wycofuje. Oczywiście o wejściu w kuluar na razie nie ma mowy. Staszek, powołując się na swe doświadczenie górskie, nie chce nawet słyszeć o tym. Janka ma wręcz przeciwnie zdanie — i tak na lodowcu Kaszka-Tasz już od wczesnych godzin rannych można słyszeć „nocne rodaków zapalczywe rozmowy”.

Po małej wymianie zdań o godzinie 6 wchodzimy w kuluar. Posuwamy się bardzo szybko i już po 30 minutach jesteśmy około 250 m w górze. W tym momencie ktoś z zespołów idących przed nami strąca kamień, który niebawem powoduje całą kamienną lawinkę. Jeden z kamieni rani Jankę — niegroźnie zresztą. Po tym incydencie decydujemy się na wtrawersowanie w skały na prawo, gdzie napotykamy schodzących Rosjan, od których pożyczamy opatrunek dla

zlikwidowania skutków niefortunnej kontuzji Janki. Ofiarnie proponują nam udzielenie pomocy, z której jednak nie musimy korzystać, korzystamy natomiast z życzliwych uwag o przebiegu czekającej nas jeszcze drogi.

Dalsza wspinaczka mija bez większych emocji. Wszyscy cało i zdrowo docierają na szczyt (4272 m), gdzie przez 40 minut podziwiamy niezwykle piękne widoki. Dalsze 30 minut zajmuje zejście na grań łączącą Bzeduch ze Szczytem Wolnej Hiszpanii. W obozie opowiadano nam, że napotkamy tam kilka wybitnych turniczek. Pierwsza z nich — nazwana imieniem Lermontowa — była po prostu wyrosniętą turnią rozmiarów naszego Mnicha, druga trochę mniejsza. Gdy wchodzimy na trzecią, pogoda raptownie się psuje. Zrywa się wiatr i zaczyna padać śnieg.

Zabieramy się do przygotowania biwaku. Planując przejście, ograniczyliśmy ekwipunek do niezbędnej żywności i anoraków, co w tych warunkach oczywiście nie wystarczy. Usiłujemy wykopać jamę śnieżną, niestety pokrywa śniegowa pozwala na wygrzebanie jedynie 50-centymetrowej nory, której w dodatku nie ma czym osłonić. A tymczasem wiatr przybiera na sile, z powodu mgły i śnieżyicy robi się ciemno. Oczywiście o gotowaniu nie ma mowy. Na domiar złego w naszej jamie jakimś cudem zbiera się woda. Ścieka ona z góry, co jednak nie sprawia na nas większego wrażenia, bo i tak jesteśmy kompletnie przemoczeni. Najbardziej dokuczliwy jest wiatr, który nieustannie nawiewa na nas mokry śnieg. Zaczynamy się zastanawiać, co będziemy w stanie zrobić rano. W tych wa-





Pod nawisem szczytowym Uszby Północnej. W pierwszym rzędzie (od lewej) P. Malinowski, R. Szafirski i S. Worwa, z tyłu — A. Popowicz, A. Zyzak i J. Holnicki.

Fot. Ryszard Szafirski

runkach bez sprzętu biwakowego nie ma mowy o dalszym przeczekiwaniu niepogody.

Na szczęście nad ranem wiatr cichnie, a śnieg przestaje padać. Nadal jest jednak gęsta mgła. Decydujemy się na zjazdy w dół, na lodowiec Kaszka-Tasz. Wiążemy nasze dwie liny — jest tego ze 120 metrów. Przemarznięci ruszamy się niemrawo, ruch jednak rozgrzewa i zjazdy idą sprawnie. Sporo emocji przeżywamy pokonując szczelinę brzezną. Dalej jest już tylko kluczenie między szczelinami lodowca i serakami, które wyglądają jakby miały za chwilę runąć. Iż nie są to tylko złudzenia świadczy fakt, że gdy już docieramy do Ryżych Skal, naszym śladem schodzi potężna lawina lodowa. Ale o tym dowiadujemy się dopiero później od naszych radzieckich przyjaciół.

**Henryk Piecuch**

## Na najwyższym szczycie Kaukazu

„Na Elbrus należy wyruszyć około północy” — poinstruował nas Witold, nasz radziecki opiekun. Spać poszliśmy więc wcześniej. Jednak gdy już zasypiałam, do pokoju wdarły się z dołu schroniska głośnie tony „Man without Love”. To na pierwszym piętrze rozpoczęły się tańce... Potem była godzinna cisza, a o północy korytarz znów wypełnił się gwarem i tupotem podkutych butów: wychodziły pierwsze grupy na Elbrus. Zasnęliśmy ponownie, by wstać, gdy w pokoju zrobi się szaro. Na dole schroniska jest kuchnia z wielkim piecem, gdzie każdy może przyrządzić posiłek — z własnych wiktuałów i z pomocą przyniesionej przez siebie wiązki drewna.

Mimo zapowiedzi, że dzień poświęcamy na aklimatyzację, około 10 osób z naszej grupy rankiem opuściło schronisko. Nasza piątka postanowiła pójść do góry tak długo, jak tylko się da, gdy ktoś poczuje się źle — wrócimy. Było dość zimno i wiał wiatr, śnieg był zmrożony, gdyż promienie słońca nie ogarnęły jeszcze tej strony stoku. Do Skal Pastuchowa dotarliśmy w godzinę i 15 minut. Dalej szło się znacznie gorzej — trzeba było przystawać i pamiętać o głębokim oddychaniu. Nie dochodząc do przełęczy, skręciliśmy w stronę wschodniego wierzchołka i dość stromym piarzysto-lodowym zboczem wznosiliśmy się w górę. Ostatnie 100 metrów musiałam odpoczywać już co 30 kroków. Tuż przed wierzchołkiem spotkaliśmy grupę alpinistów radzieckich, którzy już wra-

cali z góry, sprowadzając jednego z członków zespołu.

Na szczycie stanęliśmy o godzinie 10. Byli tam już Adam, Jasio i Piotrek, którzy nas wyprzedzili. Zrobiliśmy kilka zdjęć — m.in. na tle wraku motocykla — i szybko ruszyliśmy w dół. Sto metrów niżej, gdzie było już ciepło i miło, zarządziliśmy dłuższy odpoczynek. Rysiek gotował na kuchence butanowej herbatę, posilaliśmy się zabranymi zapasami. Było jeszcze wcześniej i nie chciało nam się wracać. Z dołu doszło jeszcze 5 osób z naszej grupy — Grażyna, Zośka, Janka, Andrzej i Heniek. Zostawili przy nas plecaki i poszli do góry. Gdy wrócili około 13 stwierdziliśmy, że możemy jeszcze spróbować wejść na wierzchołek zachodni.

Trawerssem przeszliśmy na przełęcz i stąd stromo, trochę po śniegu, trochę po skalach, do góry. Muszę przyznać, że szło mi się znacznie lepiej niż na wierzchołek wschodni, mimo że zachodni jest wyższy o 37 m — wznosi się na wysokość 5633 m, o przeszło 1000 m przerastając inne sąsiednie szczyty Kaukazu. Na ostatnich stu metrach trzeba się było spieszyć, gdyż naddciągała burza. W powietrzu snuła się woń siarki, dość znacznie dawała się odczuć wysokość. Na wierzchołku stanęliśmy o 14<sup>30</sup>. Rysiek pstrykał zdjęcia, do których trzeba było pozować. A ja najchętniej siadłabym sobie na śniegu i trochę pospała.

Zejscie dłużyło nam się okropnie. Dopiero teraz stwierdziliśmy, jaki to szmat drogi. W



dodatku śnieg roztopił się po wierzchu, spodem zaś leżał niemily lód. Słońce prażyło przez powłokę chmur i mimo „czadry“ zrobionej z gazy paliło twarz. Do gościnnego „Prijuetu 11“ dobiliśmy około godziny 16 —

wszyscy co nieco zmęczeni. Następnego dnia pozostałe osoby z naszej czternastki weszły na wierzchołek, tak więc wszyscy uczestnicy wyjazdu znaleźli się na najwyższym szczycie Kaukazu.

**Aleksandra Lapaś**

## Kurmyczy — w kobiecej dwójce

„Nasi“ w ponurej pogodzie pakują rano plecaki i wyruszają pod Uszbę. Grażną i mnie zlamala plucha. Za nic nie chcemy moknąć. Godziny w obozie płyną jednak tak opieszale, że postanawiamy na drugi dzień koniecznie gdzieś pójść. Najbliżej jest Kurmyczy. Wysokość 4058 m, trudności 1A. Opis drogi mamy od naszych kolegów, którzy już tam byli przed nami. Aż do Przełęczy WCSPS główny problem mają stanowić pionowe trawy i przewieszane piargi — dalej prosto skalną granią na wierzchołek. Śnieg, jak nas zapewniono, w zasadzie można oglądać tylko na sąsiednich szczytach.

Rano wkładamy więc autostopki, do plecaka na wszelki wypadek pakujemy linę i... o mało nie zostajemy w obozie, bowiem wczoraj zapomnieliśmy zgłosić nasze wyjście komu trzeba. Kiedy sprawa się wyjaśnia — wyruszamy, chociaż jest już godzina 10. Ścieżką po stromej łące, rozpychając pasące się barany, osiągamy wysokość około 3 000 m. Dalej droga prowadzi połąką osypującą się skalistą grzędą. Przez cały czas towarzyszą nam ślady wypasanych i tu owiec.

Przełęcz wylania się z mgieł zupełnie nieoczekiwanie. Smutek nasz nie ma granic. Nie było ani pionowych traw, ani przewieszonych piargów — szłyśmy po pastwisku! Za to teraz mamy śnieg, którego plan marszruty nie przewidywał. Zgodnie więc z opisem, starannie go omijamy, skacząc z kamienia na kamień. Przerwy między płatami stają się coraz mniejsze, wreszcie bohatercko wkraczamy na śnieg — w autostopkach.

Na szczyt docieramy o godzinie 15 — w kompletnie przemoczonym obuwiu. Gorączkowo rozkopujemy kamienie w poszukiwaniu „zapiski“ naszych poprzedników. Na wierzchołku powstał już dołek, a notatki ani śladu. Znajdujemy za to pustą puszkę po sardynkach. Umieszczamy więc tam kartkę z naszymi nazwiskami, po czym budujemy kopczyk z kamieni — tak wielki, że szczyt zyskuje kilkadziesiąt centymetrów wysokości.

W obozie nikt nas nie wita kwiatami, za to Tytus częstuje nas gorącą herbatą, która bardziej rozgrzewa nasze przemoczone i zmarznięte nogi, aniżeli najgorętsze owacje.

**Zofia Gerlach**

## Na pożegnanie — Uszba

Gdy w nienajgorszym stylu dokonaliśmy wejść na kilka szczytów czterotysięcznych oraz na oba wierzchołki Elbrusa, nasi radzieccy gospodarze przekonali się, że mogą zaufać naszym kwalifikacjom górskim i wyrazili zgodę na zaatakowanie Uszby Północnej, drogą o trudnościach 4B. Były to ostatnie dni naszego pobytu w pięknym Kaukazie, a termin końcowy wyznaczała data rezerwacji miejsc w pociągu.

Z obozu „Dżantugan“ wyruszyliśmy w 11 osób 21 lipca po śniadaniu, korzystając z niewielkiego przejaśnienia w trwających od kilku dni opadach. Do tzw. niemieckiego Bi-

waku (ok. 2800 m) dotarliśmy po 7 godzinach marszu — dokładnie przemoczeni. Część urządziła się w dwu małych „szałasach“, reszta — pod namiotami. Następnego dnia poszliśmy dalej — na Plateau Uszbijskie (ok. 4000 m). Podejście potrzaskanym i groźnym bez przerwy lawinami seraków Lodospadem Uszbijskim stanowi typowy przykład tzw. niebezpieczeństw obiektywnych w górach. Tego odcinka drogi nie wspominamy mile. Około godziny 11 wycofał się zespół Zygadlewicz, Dajnowski i Piecuch z powodu zranienia się czekaniem Heńka Piecucha. Ostatnie kilkadziesiąt metrów lodospadu to regularna



wspinaczka. Na plateau weszliśmy w kompletnej mgle, w pierwszym więc jako tako dogodnym miejscu rozbiliśmy namioty. Otaczała nas mgła, padał śnieg.

Wstaliśmy o godz. 2 w nocy. Było zimno, kilkanaście stopni poniżej zera. A więc idealnie trafiliśmy na roz pogodzenie... Był 23 lipca i ostatnia nasza szansa. Następnego dnia, najpóźniej w porze obiadowej, musieliśmy być na dole. Wyruszyliśmy w szóstkę o godzinie 3.30. Na plateau pozostali Ala Laptaś i Antoni Sidorowicz. Warunki były doskonałe. Beton. Na „Poduszce“ znaleźliśmy się w godzinę, bez większych też kłopotów osiągnęliśmy Skały Nastienki. Dalej czekało nas około 200 metrów lodowo-śnieżnej deski, wyprowadzającej na grań. Wspinaczka szła sprawnie, a widoki były naprawdę niezwykle.

Na grań weszliśmy dość szybko, bo przed godziną 9. Teraz zwolniliśmy tempo. Trzeba było pilnie uważać na nawisy, a droga prowadziła ciągle w trawersach. Wreszcie o godzinie 14 spiętrzył się nad nami nawis szczytowy Uszby Północnej! Staliśmy na jednym z najładniejszych i najciekawszych dla alpinisty szczytów Kaukazu. Odpoczywaliśmy, fotografowaliśmy, chociaż widoczność ograniczały mgły podchodzące z dolin.

Potem było zejście i zjazdy tą samą drogą, którą weszliśmy na górę. Szliśmy bardzo ostrożnie. Namioty na plateau osiągnęliśmy o 20. Cała akcja trwała 16 i pół godziny. Nie był to czas rewelacyjny, za to wszyscy byli bardzo zadowoleni. A o to przecież chodziło przede wszystkim...

Ryszard Szafirski

## Zgrupowanie w ENSA 1969

TADEUSZ LAUKAJTYS

Tradycyjne spotkanie alpinistów różnych narodowości w Chamonix miało w zeszłym roku zgoła nietypowy przebieg. Niezbyt zwykle gościnny pod względem pogody masyw Mont Blanc, tym razem prześcigał się w uprzejmościach z gospodarzami Narodowej Szkoły Narciarstwa i Alpinizmu (ENSA).

W dniach od 7 do 26 lipca 1969 r. przebywało w Szkole 44 alpinistów z 22 krajów. Obok nacji tradycyjnie interesujących się alpinizmem, mam tu na myśli też Polskę, przybyli do Chamonix alpinści z Afryki Południowej, Boliwii, Indii i Meksyku, nie wspominając już o Grekach i Hiszpanach. Wśród uczestników spotkania znaleźli się bliscy Polakom Ian Clough (por. s. 139) i Jean Bourgeois, a także znany i skądinąd sympatyczny, Reinhold Messner. Naszych sąsiadów z południa reprezentowali Ivan i Peter Dieškowie, a baw gospodarzy bronili dwaj paryżanie, Jean-Claude Droyer i Thierry Fagard. Z ramienia ENSA do obsługi międzynarodowego zgrupowania zostali delegowani profesorowie Pierre Blanc, André Contamine, Georges Payot i Yves Pollet-Villard.

Ogółem uczestnicy zgrupowania wykonali 69 wspinaczek. Największą popularnością cieszył się Filar Walkera, który pokonany został sześciokrotnie — przez zespoły słowacki, norweski, włoski, belgijski, francuski i niemiecki. Zanotowano także trzy przejścia Filara Freney — przez Austriaków, Bułgarów i Jugosłowian. Dużym wzięciem cieszyły się, jak zawsze, drogi na Mont Blanc — Major, la Poire, Brenva.

Największymi jednak wydarzeniami zgrupowania stały się dwa pierwsze przejścia,

dokonane na Les Droites („Filar Bergland“) przez zespół austriacki i na Mont Blanc (Filar Narożny) przez zespół polski.

Nieprzeciętne osiągnięcia sportowe spotkania były wynikiem nie tylko świetnej pogody, lecz również doskonałych warunków bytowych i troskliwej opieki ze strony naszych francuskich gospodarzy. Zespół polski szczególnie wysoko cenil sobie pomoc André Contamine'a, który jest znanym przyjacielem Polaków i zawsze odnosi się do nich w sposób pełen życzliwości i serdeczności. Wzruszający był moment, gdy czwartego dnia wspinaczki na Filarze Narożnym rozpoznaliśmy w kabinie zawieszono kilkanaście metrów od skał śmigłowca, charakterystyczną twarz Andre'a, ze skupieniem obserwującego nasze poczynania.

Nieoczekiwaną furorę zrobiły w ENSA „jedyńki“, nazwane przez Francuzów „pitons speciaux polonais“. Nam, przyzwyczajonym do tego, że co drugi uczestnik kursu na pytanie, jakie zna haki, odpowiada „łyżki i jedynki“ (nie dowcip to, lecz smutny fakt), zainteresowanie to wydawało się trochę przesadzone, podobnie zresztą Francuzi dziwili się naszemu narzekaniu na ciężar kolków, na których wykonanie poświęciliśmy dużą część szalasu w Tacconaz.

Reasumując te oderwane refleksje chciałbym podkreślić raz jeszcze sympatyczny stosunek Francuzów do alpinistów polskich, którzy na obszarze Alp — zwłaszcza francuskich — cieszą się bardzo dobrym imieniem i wysokim kredytem zaufania. Teraz rzecz w tym, by kredyt ten z roku na rok powiększać, a nie zmniejszać!



## Nowe drogi w górach Europy

### AIGUILLE DE L'ÉBOULEMENT (3662 m)

I wejście środkowym filarem wsch. ściany: Janusz Fereński, Jan Franczuk, Tadeusz Gibiński i Andrzej Mróz, 4 IX 1969. Trudności V+, A1. Pierwsze przejście trwało niecałe 10 godzin.

Aiguille de l'Éboulement opada ku wsch. szeroką ścianą, której środek przecina niezbyt wyraźny, zwłaszcza w górnej części, 650-metrowy filar. Podejście pod ścianę ze schroniska Dalmazzi przez lodowiec Triolet jest bardzo wygodne i krótkie — zajmuje 1-1,30 godziny. Trasa zejścia zespołu stosunkowo łatwa, wiodła przez lodowce Pierre Joseph, Leschaux i dalej do Chamonix.

Po przekroczeniu szerokiej szczeliny brzożnej idziemy zrazu najniższą opadającymi skalami wsch. ściany i przecinając śnieżno-lodowe pola kierujemy się w prawo ku ostrzu filara, stanowiącego krawędź pięknej, litej, 250-metrowej ściany, której skały przypominają południowe zerywy Aiguille du Midi. Z dobrego stanowiska pod spiętrzeniem filara wspinamy się w prawo w górę z przewinięciem za krawędź. Droga wiedzie następnie kilka długości liny po prawej stronie filara i wychodzi z powrotem na jego ostrze. Następuje krótki 3-metrowy trawers w prawo do przewieszanej rysy, którą wspinamy się prosto w górę z pomocą kilku haków. Z wąskiej rysy wychodzimy pod pas przewieszek przecinających w połowie prawie całą wsch. ścianę Aiguille de l'Éboulement. Odcinek ten przebywamy techniką hakową, środkiem 25-metrowej gładkiej, przewieszanej ściany (bardzo pewne haki). Znad pasa przewieszek skośnie w lewo w górę — kilka wyciągów i dalej wprost do góry w linii spadku wierzchołka. Ostatnie 200 m wspinaczki bez większych trudności.

J. Fereński

### MONTS ROUGES DE TRIOLET POINTE S. W. (3236 m)

I wejście pd. filarem, liczącym ok. 500 m wysokości: Janusz Fereński, Jan Franczuk, Tadeusz Gibiński i Andrzej Mróz, 3 IX 1969. Trudności III-IV. Czas I przejścia 5 godzin.

Ok. 200 m od schroniska Dalmazzi w kierunku lodowca Triolet wznosi się wybitny filar, wy-

prowadzający na wierzchołek Pointe S. W. w Monts Rouges de Triolet.

Nasza droga wiedzie prawą częścią filara i rozpoczyna się wyraznym 150-metrowym ukośnym kominem. Po jego przebyciu z siódła na filarze wznosimy się wprost w górę pod kopule szczytową Pointe S. W., dochodząc do pasa półek i zachodów. Stąd łatwy trawers w prawo z obniżeniem do otwartego, długiego (80 m) zacięcia, wyprowadzającego z powrotem na ostrze filara. Po jego przejściu jeszcze ok. 150 m wprost w górę na wierzchołek.

J. Fereński

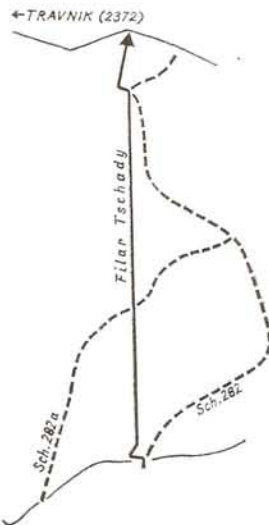
### TRAVNIK (2379 m)

I wejście nową drogą prawą częścią pn. ściany (ściśle tzw. Filarem Tschady): Teresa Długocka, Jan Lewicki i Jan Łacki, 11 VII 1970; droga nadzwyczaj trudna (V-, 3 wyciągi V+), wysokość filara 800 m, 7 godzin (czas I przejścia — 16 godzin); droga logicznie rozwiązuje prawą część ściany, prostując drogi 232 i 282a wg przewodnika H. Schönera. Krucho.

Podejście: z Tamaru ścieżka prowadząca na Jalorec aż poza ostatnią zalesioną bułą wrastającą w pn. ścianę Travnika. Stąd w lewo pod ścianę Site i po stromych piargach w kierunku wsch., na wierzchołek wspomnianej buły.

Krótką krucho grańką we właściwą ścianę i w górę w lewo na stopnie. Wyciąg trawersu w lewo (IV) do stanowiska w małej depresji. Dalej w lewo przewinięcie za żeberko i rysa w górę do miejsca, w którym się ona przewiesza. Stąd albo wprost rysą na platformę, albo (łatwiej, V+) trawers 3 m otwartą ścianą w prawo i w górę na platformę. Dalej skośnie w prawo w górę stopniami skalnymi, po czym ok. 400 m wprost filarem, nabierającym charakteru grzędy i coraz łatwiejszym (II) — do wybitnej kazałnicy pod szczytowym spiętrzeniem ściany (spotykamy się tu z drogą Tschady — nr przewodnikowy 282).

Z kazałnicy przez szczelinę brzożną płatu fimowego i skały nad nią w lewo do kruchoj kominowatej rynny (droga Tschady obchodzi spiętrzenie z prawej strony), którą kilka wyciągów (III) aż do dużego zaklinowanego bloku (pod nim można swobodnie przejść). Mniejszy blok albo — od razu kruchoją lewą ścianką bardzo tu głębokiej rynny wprost w górę kilkanaście metrów na



Polska droga (linia ciągła) na północnej ścianie Travnika. Według odrębnego szkicu Jana Łackiego.

skalno-piaryzyste stopnie, albo — rynna jeszcze kilka metrów do lodowej przewieszki (pod nią stary hak zjazdowy z pętla) i z jej lewej strony zapieraniem między skałą i śniegiem z odchyleniem w lewo na skalno-piaryzyste stopnie (V+). Dalej z niewielkim odchyleniem w lewo poprzez dwie piaryzyste półki (nie iść nimi w lewo!) i z prawego końca górnej wywieszona rysa (początek z ławeczki) wprost w górę przez ryżę i podwójny wąski komin (V+) na łatwy teren, którym 30 m na zach. grań Travnika.

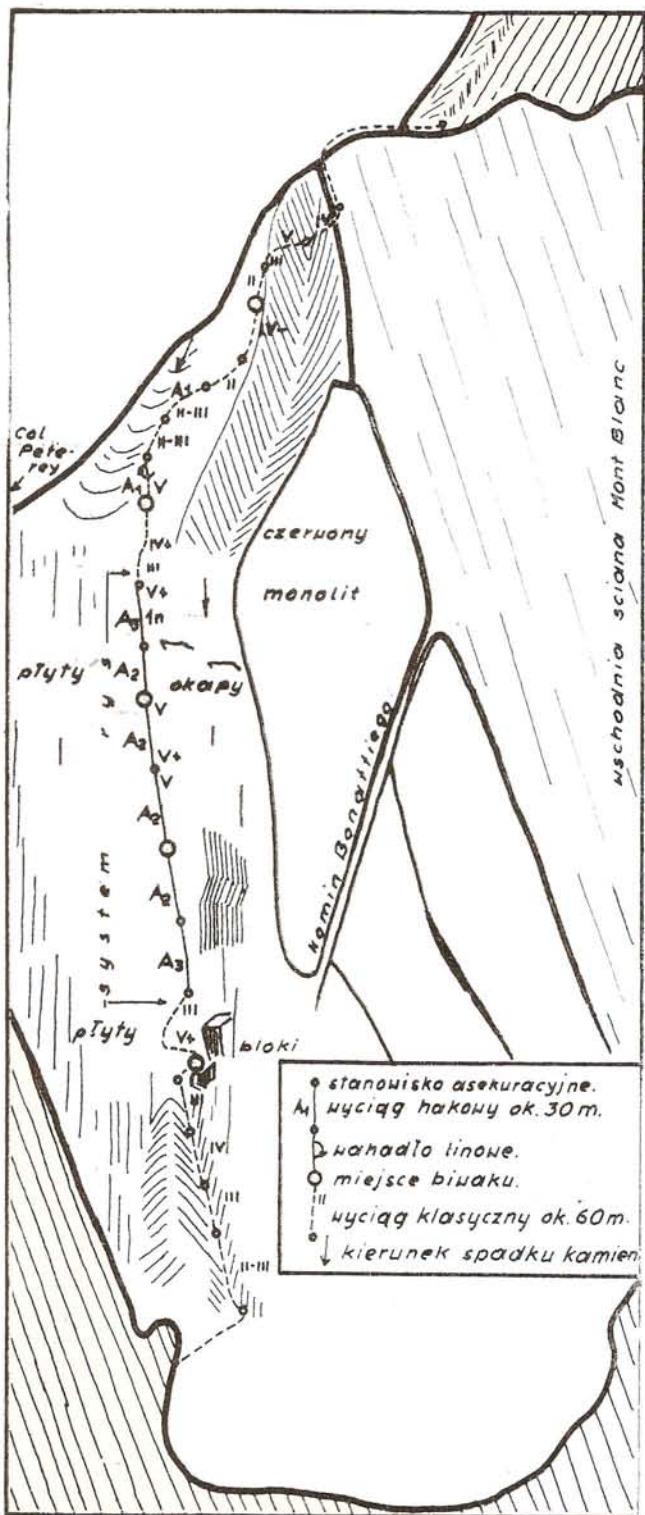
J. Łacki

### MONT BLANC

I przejście pd.-wsch. ściany Wielkiego Filara Narożnego: Eugeniusz Chrobak, Tadeusz Łaukajtyś i Andrzej Mróz, 15-20 VII 1969. Trudności klasyczne występują na małych odcinkach i nie przekraczają V+. Trudności hakowe duże (A2 i A3). Efektywny czas wspinaczki w czasie I przejścia ok. 60 godzin.

Wejście w ścianę w linii spadku olbrzymiej depresji rozdzielającej podszczytowe partie filara. Śniegi wchodzi tu wysoko w





skały i wypełniają rodzaj płytkiej depresji, utworzonej przez ścianę i znajdujące się z lewej strony zacięcie. Zacięciem tym kilka długości liny bez większych trudności (jedno miejsce IV) na stromą bułą stanowiącą zakończenie lewego ograniczenia zacięcia (opisany odcinek jest mocno narażony na spadające kamienie). Stąd kilkanaście metrów w górę, po czym w prawo do wielkiego bloku. Przez ten blok i położoną nad nim płytę pod pionową ścianę. Teraz trawersem w lewo, początkowo łatwo, potem V+, do miejsca, gdzie otwiera się możliwość drogi w górę. Po kilku metrach skośnie w prawo do początku spekaną rysę, biegnącą w górę z lekkim odchyleniem w lewo. Skosem w prawo ciągnie się stąd warstwa zwietrzałych skał. Tu zaczyna się wspinaczka hakowa.

Początkowo prawą stroną rysy (A3), a potem nią samą (A2) do miejsca, gdzie zanika ona, a przylepione do skały bloczki tworzą wąską półeczkę (ostatnie kilka metrów klasycznie, V). Dalej znowu rysą biegnącą w górę z lekkim odchyleniem w prawo (A2), a potem przez ściankę na wielką nachyloną płytę (V). Ścianką z prawej strony tej płyty z pomocą „żywej drabiny” z powrotem do rysy i nią w górę (A3), pod koniec (V) do następnych bloków, które znowu tworzą małą półkę. Stąd w górę, dalszym ciągiem rysy — początkowo A2 potem A3, i nit, dwie długości liny aż do skalnej rampy. Ostatnie kilka metrów klasycznie (V+). Rampą w lewo do jej końca, potem w górę z lekkim odchyleniem w prawo, cały czas łatwo, aż pod kilkumetrową ściankę, przez którą w górę (V). Dalej kominkiem pod olbrzymie zacięcie ograniczone z prawej strony wielką przylepioną do ściany turnią, z lewej zaś płytami. Kilkanaście metrów w lewo, potem w górę przez dwie rozdzielone ścianką małe trójkątne płyty (V). Z początku drugiej płyty wahać linowe w lewo do ciągnącej się niżej rysy. Tą rysą kilkanaście metrów do jej końca (A1), gdzie kończą się główne trudności drogi. Dalej w górę, już łatwo, pod kruche żebro ograniczające z prawej strony olbrzymią depresję opadającą w kierunku Col de Peuterrey. Żebrem tym w górę po kruchych skałach pod małą ścianką, przez którą z pomocą haka znowu na łatwy ale nadzwyczaj kruchy teren. Teraz długi trawers w prawo w kierunku lewego ograniczenia depresji, rozdzielającej podszczytowe partie filara. Po osiągnięciu tego ograniczenia w górę, lawirując między skalnymi barierami. Przez ostatnią z nich kilkunastometrowym kominkiem z powrotem na żebro ograniczające z lewej wspomnianą depresję. Po niewielkim obniżeniu (V) na dno tej depresji — w górę na prawe jej ograniczenie. Stąd łatwo na szczyt filara. Dalej początkowo skalną a potem lodową granią na szczyt Mont Blanc de Courmayeur (4748 m), skąd na właściwy wierzchołek (4807 m).

Zdjęcie Marii Rewaj (przed schronem Prijut Odin-

Rys. Tadeusz Laukajtys

T. Laukajtys



### Obóz w Chamonix, 1969

W dniach od 19 sierpnia do 17 września 1969 r. przebywała na obozie treningowo-wycieczkowym KW w rejonie Mont Blanc 7-osobowa grupa członków kół Warszawskiego i Wrocławskiego. W skład ekipy wchodził: Tadeusz Gibiński, Krzysztof Konarski, Zofia M. Kozłowska-Skiba, Jacek Mierzejewski i Andrzej Piekarczyk (kierownik) — z Warszawy, oraz Janusz Fereński i Jan Franczuk z Wrocławia.

Przyjazd grupy do Chamonix nastąpił po długotrwałym opadzie śniegu, co w połączeniu z bardzo złymi warunkami atmosferycznymi (ciągle deszcze) uniemożliwiło na dłuższy okres działalność wspinaczkową. W tym czasie wszelkie próby działalności sportowej kończyły się na podejściach pod ściany (Les Courtes), lub w najlepszym razie na krótkich wspinaczkach treningowych (K. Konarski i J. Mierzejewski — Aiguille de l'M).

Wykorzystując okres trzydniowego rozpozgodzenia, J. Fereński, J. Franczuk i T. Gibiński poprowadzili wraz z A. Mrozem dwie

nowe drogi w rejonie lodowca Triolet (szczegół s. 131):

1. W dniu 3 września 1969 południowym filarem Pointe S. W. w Monts Rouges de Triolet;

2. W dniu 4 września 1969 środkowym filarem wschodniej ściany Aiguille de l'Eboulement.

W tym samym czasie Z. Kozłowska-Skiba, K. Konarski i A. Piekarczyk weszli na Mont Blanc przez Aiguille du Goûter.

W dniu 5 września nastąpiło załamanie pogody. Długotrwałe opady deszczu, uniemożliwiające jakąkolwiek działalność, spowodowały wcześniejszy powrót do kraju większości uczestników obozu. Pozostały najdłużej T. Gibiński, korzystając z krótkotrwałej słonecznej pogody, dokonał trawersowania grani od Mont Blanc do Aiguille du Midi (z omińnięciem Mont Blanc du Tacul).

Ogólnie biorąc, obóz natrafił na bardzo niekorzystne warunki atmosferyczne. Jedynie dni pogody zostały wykorzystane całkowicie, a dwie nowe polskie drogi, poprowadzone w rejonie bardzo rzadko przez Polaków odwiedzanym, spotkały się z zainteresowaniem i pozytywną opinią alpinistów z Chamonix. Prasa francuska zamieściła relację z tych przejść, wysoko oceniając zwłaszcza nową drogę na Aiguille de l'Eboulement.

*Janusz Fereński i Andrzej Piekarczyk*



Nowa polska droga na wschodniej ścianie Aiguille de l'Eboulement (3662 m.).

*Fot. Janusz Fereński*

### Spotkanie w Szwajcarii

W dniach 5—9 lipca 1970 r. odbyło się w Rosenlaur (Bernar Oberland) zorganizowane przez UIAA Spotkanie Kierowników Grup Młodzieżowych (Jugendleitertreffen).

Wśród gości honorowych zjawił się prezes Unii — Albert Eggler, a uczestnikami zajmowali się troskliwie dr Hans Faber, Peter Pfeiffer, Marcel Rupp i Heinz Stähli. Sekretariat prowadziła przyjaciółka polskich alpinistów panna Josy Zehnder. Uczestnicy przybyli licznie z czternastu krajów: od Hiszpanii po Turcję i od Italii po Anglię i (oczywiście osobno!) Szkocję. Zajęcia odbywały się na lodowcu Rosenlaur przy wspaniałej pogodzie. Eiselin pokazał świetny zestaw sprzętu. Po zakończeniu czterodniowego oficjalnego programu część uczestników pojechała pod Matterhorn, natomiast nasz jedyny przedstawiciel — Wacław Nowy, udał się pod Grossglockner, by spotkać się z Fritzem Moravcem w celu omówienia wspólnych planów wyprawowych oraz dalszego udziału polskich instruktorów w pracach alpejskiej szkoły wspinaczkowej.

*Wacław Nowy*



## Alpy Julijskie – lipiec 1970

Wyjazd 14-osobowej grupy taterników z Sekcji Wysokogórskiej przy RU ZSP Akademii Medycznej w Warszawie zorganizowany został przez Radę Uczelnianą oraz „Almatur”. Oprócz działalności sportowej przeprowadzono badania naukowe przy współpracy Zakładu Fizjologii AM. Obecność w komplecie kierownictwa Sekcji (kierownik — Andrzej Szczepanik, zastępca do spraw sportowych — Jan Łacki, zastępca do spraw naukowych — Jacek Gronczewski) uczyniła zbędnym wybór kierownika wyjazdu.

Pobyt w Apach Julijskich trwał od 7 — 25 lipca 1970 r. — obozowano w dolinach: Planica (obok schroniska Tamar) i Vrata (obok schroniska Aljažev Dom). Pogoda była na ogół dobra — w sumie 6 dni opadów, z czego w dniach od 15 do 16 lipca śnieg powyżej 1000 m n.p.m. (warstwa 10 cm grubości utrzymywała się przez 2 — 3 dni).

Spośród osiągnięć wspinaczkowych na czoło wysuwają się następujące (w porządku chronologicznym):

1. Pierwsze polskie przejście nie opisanej drogi w murze Site — wielką załupą i płytami w prawej części ściany na najdalej na zachód wysuniętą turnię szczytową; IV, ściana o wysokości 700 m, 7 godzin — Małgorzata Gładkowska, Jacek Gronczewski, Maria Jędrzejewska i Wojciech Mąkowski, 11 lipca 1970 r.

2. Pierwsze polskie przejście północno-wschodniej ściany Małego Jalovca — IV z miejscami V-, 300 m, 4 godziny — Jerzy Brzywczy, Jerzy Burzykowski i Wiesław Jakubowski; 11 lipca 1970 r.

3. Przejście nowej drogi na północnej ścianie Travnika (2379 m) — filarem w prawej części ściany (patrz opis); V, 800 m, 7 godzin — Teresa Długocka, Jan Lewicki i Jan Łacki, 11 — 12 lipca 1970 r.

4. Pierwsze kobiece przejście drogi niemieckiej na północnej ścianie Triglavu (2863 m) w dobrym czasie 5 godzin (czas przewodnikowy — 4 do 6 godzin), 800 m, III, miejsce IV — Teresa Długocka i Małgorzata Gładkowska, 22 lipca 1970 r.

5. Pokonanie najdłuższej drogi Alp Wschodnich — drogi „długiej” niemieckiej na północnej ścianie Triglavu w czasie 8 godzin; 1500 m ściany (droga długości 3 km — 100 wyciągów<sup>1</sup>), IV — Jacek Gronczewski i Jan Łacki, 23 lipca 1970 r.

Skala w obu rejonach działania naszej grupy była b. krucha, a czasy przewodnikowe dość wyśrubowane — zakładające chodzenie z lotną asekuracją do terenu trudnego (III) włącznie. Na popularnych drogach, poczynając od trudności IV, tkwią stałe haki — w ilości na ogół wystarczającej (na „długiej” drodze niemieckiej wbiliśmy dodatkowo 4 haki; dziewczęta na „krótkiej” — ani jednego!). W czasie jednego z przejść miał miejsce stosunkowo szczęśliwie zakończony wypadek, który omawiam w oddzielnej notatce. Jak nas poinformowano, jeszcze w tym roku ma się ukazać nowy słoweński przewodnik po Alpach Julijskich. Aktualnie dostępny przewodnik niemiecki H. Schönera zawiera liczne nieścisłości i braki.

Jan Łacki

## Wyprawy w góry egzotyczne

### Z Pakistanu

Z informacji udostępnionych nam przez I sekretarza Ambasady Polskiej w Rawalpindi dowiadujemy się, że w lecie 1970 Malubiting atakowany był przez 4-osobową wyprawę studencką z NRF, prawdopodobnie drogą zbliżoną do polskiej. Ok. 200 m poniżej szczytu wypadek lawinowy, zakończony śmiercią jednego z uczestników, spowodował, że i ta próba zdobycia szczytu zakończyła się niepowodzeniem.

Weteran wyprawy na Masherbrum (7820 m) z r. 1960, major Jawed Akhter, poprowadził w r. 1970 wyprawę Armii Pakistańskiej (8 oficerów i 4 żołnierzy) na szczyt Diran (7273 m), wznoszący się w zachodniej części Karakorum i zdobyty już w r. 1968 przez Austriaków („Taternik” 4/1968 s. 192). Zapowiedziano, że tegoroczna wyprawa alpinistyczna Armii Pakistańskiej jest przygotowaniem do większego przedsięwzięcia wyprawowego w r. 1971 (na K2?).

### Portret Ziemi z Kosmosu

W Muzeum Ziemi w Warszawie czynna była od stycznia do czerwca 1970 r. bardzo interesująca wystawa pt. „Ziemia, nasza planeta”. Zestawy pięknych fotogramów, wykonane w ramach specjalnego programu lotów kosmicznych „Gemini” ukazują precyzyjny wizerunek Ziemi widzianej z wysokości od 80 do ok. 300 km, przedstawiając ją w różnych porach dnia i w różnym zbliżeniu, od niewielkich wycinków aż do ukazania całej planety. Scenariusz opracowała i zrealizowała z pomocą Ambasady Amerykańskiej dr B. Nawara.

Nas, którzyśmy z różnych uroków ziemi wybrali góry, szczególnie zainteresują zdjęcia licznych łańcuchów górskich — Andów, Atlasu, Hindukuszu, a zwłaszcza najwyższych gór świata, Karakorum i Wielkich Himalajów. Z uwagi na ogrom obszarów tych ostatnich, wystawa prezentuje ich sekcje, a nawet gniazda górskie, dając możliwość wyszu-





Widok na Pamir i Hindukusz z pojazdu Gemini, z wysokości ok. 120 km. Górną część zdjęcia oddziela poziomo doskonale widoczna dolina Wachanu. Po prawej stronie środkowej części — Hindukusz Wysoki, teren działania polskich wypraw.

kania poszczególnych ośmiotysięczników, otoczonych zazwyczaj koronami wybitnych szczytów znanych z literatury i filmów himalajskich. Wystawę zdobyły nadto fascynujące zdjęcia Księżyca i próbka przywieziona stamtąd skały. Zwiedzający mogli się zaopatrzyć w pięknie wydany kolorowy magazyn z programem lotów „Apollo“, z którego wynika, że statek „A-16“ ma wylądować w rejonie najwyższego wypiętrzenia księżycowego, celem dokonania bezpośrednich pomiarów szczytów, które zdaniem niektórych uczonych mogą tam sięgać 10 000 m.

*Lech Wróblewski*

## Austriacy na Lhotse Shar

Siedmioosobowa austriacka wyprawa HG „Karwendler“ dokonała 12 maja 1970 r. pierwszego wejścia na niższy, południowo-wschodni wierzchołek Lhotse Shar (8383 lub 8400 m). Wyprawą kierował Siegfried Aeberli, na szczycie zaś stanęli Josef Mayerl (lat 33) i Rolf Walter (lat 29). Bazę założono na zachodniej morenie bocznej lodowca Lhotse (5220 m), kolejne obozy — na wysokości 6000, 6700, 7200 i 7600 m — wszystkie złożone z namiotów ustawionych w pieczarach lodowych. Droga ataku wiodła bardzo trudnym filarem południowo-wschodnim, zbudowanym z kruchych łupkowych płyt, a na długich odcinkach pokrytym twardym lodem. Ciąg lin poręczowych 7-milimetrowej grubości był nieprzerwany. Rozpięto je z pomocą haków, śrub lodowych, kołków oraz specjalnych haków firnowych 1-metrowej długości. Do wysokości 7000 m napotymano liczne ślady wyprawy japońskiej z r. 1965, która wycofując się porzucała zapasy paliwa, lin, butli z tlenem. Wręcz akrobatycznych sztuk dokony-

wali Austriacy w zejściu — pospiesznym, gdyż warunki atmosferyczne były w ciągu całego ataku bardzo niekorzystne. Licząc Lhotse Shar za samodzielny ośmiotysięcznik, trzeba z uznaniem stwierdzić, że z 15 pokonanych szczytów tej klasy 6 zdobyto z udziałem alpinistów austriackich.

## Austriacy w górach Etiopii

Prezydent Austrii, dr Franz Jonas, przyjął na specjalnej audiencji uczestników 22-osobowej Oesterreichische Naturfreunde Semyen-Expedition 1970, która dokonała szeregu trudnych wejść na szczyty pięknego Semieniu. „Świat górski o nieporównanej wspaniałości — czytamy w sprawozdaniu — całkiem inny niż Himalaje czy Alpy (...). Wysokość szczytów waha się w granicach 3500—4000 m, a niemal każdy z nich tworzy ogromny kubiczny blok z pionowymi ścianami. (...) Prawie żadna z tych wielkich ścian nie została dotąd przebyta przez wspinaczy.“ I pomyśleć, że w związku z łódką wyprawą w te same rejonu utrzymywano u nas, iż w Etiopii gór nie ma!

## Nanga Parbat z doliny Rupal

W kwietniu wyruszyła z NRF w Himalaje kolejna wyprawa dra Karla Herrligkoffera z zamiarem pokonania południowej ściany Nanga Parbat (8125 m), w r. 1968 przebytej przez Niemców do wysokości 7100 m („Taternik“ 4/1968, s. 191). Liczy ona 4500 m wysokości i uchodzi — jak pisze J. K. Dorawski (s. 224) — „za najwyższą ścianę skalną świata“. Wyprawa założyła bazę w połowie maja, szturm trwał więc z górą miesiąc. Atak szczytowy przypadł w udziale znakomitym



tym Tyrolczykom, Reinholdowi i Günterowi Messnerom. W dniu 27 czerwca stanęli oni na wierzchołku, na który w dwa dni później dotarła druga dwójka — Austriak Felix Kuen oraz Niemiec Peter Scholz. Niestety i tym razem nie obyło się bez wypadku: w czasie schodzenia ścianą północno-zachodnią, w stronę doliny Diamir, zginął porwany lawiną 23-letni Günter Messner.

Tak więc szczyt słynnej góry zdobyty został po raz trzeci — dwa poprzednie wejścia: H. Buhl w r. 1953 oraz T. Kinshofer, S. Löw i A. Mannhardt w 1962 („Taternik” 4/1968 s. 191). Trzy wejścia i 20 ofiar śmiertelnych — bilans naprawdę przerażający!

## W skrócie

\* W miesięczniku „Alpinismus” G. O. Dyhrenfurth kontynuuje swą prezentację najwyższych szczytów świata. W trzech ostatnich numerach omówione zostały Makalu (8481 m), Dhaulagiri (8167 m) i Manaslu (8156 m).

\* Władze Afganistanu wprowadziły z dniem 1 maja 1970 r. 12-punktowy zbiór nowych przepisów regulujących zagadnienia związane z wyprawami w góry wysokie. Dokument ten całkowicie wyłącza z eksploracji alpinistycznej obszary położone na wschód od Nau-Szach (Naw-Shakh), ustala też minimum liczebności wyprawy: 5 osób, w tym lekarz.

\* Jak nas poinformował inż. Wiktor Ostrowski, na najbliższe lata przygotowywana jest argentyńska wyprawa na Mount Everest.

\* „Alpinismus” nr 6/1970 zamieścił przekład artykułu K. J. Rusieckiego o wejściu na Ambę Wahni — wzięty z „Taternika” nr 4/1969. Okazały dwustronnicowy materiał zdołał zdjęcia Jerzego Surdeja.

\* Złe warunki atmosferyczne zmusiły do odwrotu spod Cerro Torre w Patagonii wyprawę włoską (Carlo Mauri) i hiszpańską. Słynny szczyt nadal czeka na drugie wejście...

\* „Rivista Mensile del CAI” 2/1970 zamieszcza obszernie omówienie włoskiej wyprawy „Ande 68” (kierownik G. Dionisi), która dokonała licznych wejść w Cordillera Raura i Cordillera Huayhuash. Cenne uzupełnienie tekstów stanowią szkice maszynowe oraz szczegółowe mapki rejonów działania wyprawy.

\* Jednym z najpiękniejszych szczytów Cordillera Huayhuash jest Nevado Jirishanca (6126 m), którego zachodnia ściana długo wyliczana była w rzędzie najważniejszych problemów andyjskich. Latem 1968 r. pokonała ją wyprawa włoska pod wodzą słynnego R. Cassina. Wierzchołek osiągnęli w 3 zespołach wszyscy uczestnicy ekspedycji.

\* 3 czerwca 1970 r. minęło 20 lat od chwili zdobycia pierwszego z kilkunastu ośmiotysięczników Ziemi, Annapurny (8091 m), na której stanęli Maurice Herzog i Louis Lachenal. We Francji jubileusz ten uczczono uroczystą wieczornicą, nad którą protektorat objął prezydent Republiki, G. Pompidou.

\* Siedmioosobowa włoska wyprawa poszukująca nowej drogi na Noszak (7492 m) od strony pakistańskiej zakończyła się odwrotem z wysokości ok. 6200 m — na skutek złej pogody. Wyprawa powróciła do Chitralu w końcu lipca 1970 r.

## Z żałobnej karty

### MARIA REWAJ

Mija właśnie rok od dnia, gdy poprzez wątłą sieć telefoniczno-radiową i łańcuch ludzi dobrej woli wieść o śmierci Maryli dotarła z Maroka na lodowiec Kszemysz, w sercu Pamiro-Alaju... Mija rok, a nadal trudno uwierzyć, że już nigdy nie zwiążemy się liną, że nigdy nie zobaczymy w jej oczach iskier uśmiechu...

Maryla — z domu Tylikowska — urodziła się 3 maja 1934 r. w Jangrocie w województwie krakowskim, w rodzinie nauczycielskiej. Lata szkolne spędziła w Rychtalu i Kępnie w Wielkopolsce, na Uniwersytecie Poznańskim ukończyła też w r. 1956 studia chemiczne. Od jesieni tego roku pracowała bez przerwy w Katedrze Chemii Fizycznej Politechniki Szczecińskiej, dochodząc do stanowiska adiunkta. Rozprawę doktorską obroniła na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej w styczniu 1965 r. Pracy naukowej umiała oddawać się z pasją, objawiając równocześnie duże zainteresowanie dydaktyką. Odznaczała się stanowczością połączoną z taktami i pogodą ducha. Umiała znajdować zadowolenie i szczęście w każdej dziedzinie swej bogatej działalności. Umiała żyć i cieszyć się z życia...



Z Tatrami zetknęła się późno, bo dopiero w r. 1956 — pół roku po naszym ślubie i bezpośrednio po ukończeniu studiów. Był to turystyczny „maraton” poprzez polską i słowacką część Tatr Wysokich. Już wówczas zafascynowana górami, objawiała Maryla niedosyt wywołany ograniczaniem się do znakowanych ścieżek. Jesienią tego roku wstąpiła do Klubu Wysokogórskiego, a w lipcu 1957 r., zaledwie w 3 miesiące po urodzeniu syna, ukończyła na Hali Gąsienicowej kurs tater-



nictwa dla początkujących. Od samego początku swej działalności wspinaczkowej odznaczała się dobrym przygotowaniem technicznym i kondycyjnym, a równocześnie dużym umiarem w obieraniu celów wspinaczkowych. Wspinała się z reguły w męskim towarzystwie, będąc całkowicie równorzędnym partnerem. W jej górskiej działalności nie było miejsca na ryzykanctwo i improwizację. Drogi nadzwyczaj trudne pojawiają się w wykazie przejść Maryli dopiero w trzecim sezonie letnim. Nie lubiła „boiskowej” atmosfery panującej latem w rejonie Morskiego Oka, dlatego też wszystkie jej ciekawsze przejścia letnie związane są z Tatrami Słowackimi. Oto niektóre z nich:

Jaworowy Szczyt środkiem północnej ściany;

Kopa Lodowa, południowa ściana — droga Karouška;

Rumanowy Szczyt — korytem i środkiem ściany szczytowej;

Gierlach prawą częścią zachodniej ściany (częściowo nową drogą).

W sportową eksplorację Tatr wniosła Maryla swój trwały wkład jako współautorka pięciu pierwszych przejść. Zimą wspinała się mniej, ale systematycznie, a z przebytych dróg wymienić można także, jak droga Motyki na południowej ścianie Zamarłej Turni czy filar Kopy Spadowej.

Z czasem przysły wyjazdy w inne góry: 1964 — Rila, 1965 — Alpy Walijskie, 1967 — Kaukaz, 1968 — Alpy Austriackie. W obcych górach najciekawszymi niewątpliwie były jej wspinaczki kaukaskie — m. in. Bielała Kaja środkiem zachodniej ściany i Mały Dombaj-Ulgen granią od Przełęcz Czuczchurskiej („Taternik“ 1/1969 s. 18).

W ciągu całego czasu przynależności do Klubu Wysokogórskiego Maryla bardzo czyn-

nie angażowała się w działalność organizacyjną Koła Szczecińskiego. Dowodem sympatii i zaufania, jakim się na tym polu cieszyła, był fakt sprawowania przez nią bez przerwy od r. 1962 funkcji prezesa Koła. Swym realistycznym entuzjazmem zdziałała dla szczecińskiego środowiska wysokogórskiego bardzo wiele. Jej umiejętnym poczynaniom organizacyjnym w głównej mierze zawdzięczało małe Koło Szczecińskie miano jednego z najprężniejszych w Klubie Wysokogórskim.

Celem, do którego zmierzała konsekwentnie jako prezes Koła, była organizacja lokalnych środowiskowych wypraw eksploracyjnych w góry świata. Szczecińska Wyprawa w Atlas Wysoki zapoczątkowała ten etap, a w jej organizację włożyła Maryla cały swój entuzjazm, choć obowiązków kierownika podjęła się z dużymi obawami. Jednym z celów wyprawy było dokonanie samodzielnych kobiecych przejść w masywie Dżebel Ajui.

W dniu 19 lipca 1969 r. wraz z partnerką Jolantą Lange weszła w północną ścianę masywu Ajui z zamiarem dokonania przejścia nowej drogi. Ostatni zapis w notatniku Maryli brzmi: *19 VII I wejście na turnię zamykającą północno-wschodnie zrzywy płaskowyżu. Korytem wymyłym przez wody ok. 60 m II. Stąd w pionowy komin dzielący uskok skalny na dwie części. Kominem poprzez przewieszkę z dwoma blokami skalnymi zamykającymi zwężenie komina. Przez przewieszki IV + na nieco łatwiejszy teren i nim pod następne spiętrzenie turni. Zginęła wraz z partnerką podczas zjazdu w trakcie wycofywania się lub niefortunnie wybranej drogi zejściowej...*

Z ziemią ojczystą zetknęła się przy dźwięku syreny m/s Płock, a w piękny sierpniowy dzień nieprzeliczone tłumy Szczecinian odprowadziły ją w cieniastą aleję Cmentarza Centralnego.

Tadeusz Rewaj

## ANDRZEJ MARUSARZ

Dnia 3 października 1969 r. zmarł w wieku 55 lat Andrzej (Jędrzej) Marusarz, syn znakomitego przewodnika i członka honorowego KW, Jędrzeja Marusarza Jarząbka, sam również aktywny przewodnik tatrzański I klasy. Zawód ten poznał jeszcze jako młody chłopiec (urodził się w r. 1914), chodząc z ojcem w charakterze tragarza.

Lata 1934—1939 to okres aktywnej działalności taternickiej Andrzeja Marusarza. Wiele wspinał się ze Stanisławem Motyką. Z nim właśnie dokonał I przejścia południowej ściany Małego Kołowego (9 sierpnia 1938) — drogą uchodzącą po dziś dzień za





jedną z najpiękniejszych dróg klasycznych w Tatrach, z nim również przeszedł nową i nie opisaną drogę na południowej ścianie Małego Lodowego — w dniu 22 września 1938 r. (A. Puśkaś przyjmuje, że chodzi tu o skrajnie trudny wariant, prostujący „starą” drogę Motyki).

Jako wspinający się przewodnik, w okresie przedwojennym był Marusarz „specem” od południowej ściany Zamarłej Turni. Trudno zliczyć jego przejścia tej ściany wraz z klientami; sięgają podobno kilkudziesięciu. Szereg też razy przebył wschodnią i zachodnią ścianę Kościelca — drogami cieszącymi się w tamtym okresie dużą sławą.

„Był zawsze bardzo opanowany w ścianie, wspinał się wolno, solidnie...” — wspomina jego towarzysz Józef Zubek, z którym w r. 1939 trasował przesuniętą granicę Polski w Tatrach. Przebyli wtedy grań główną — od Tatr Bielskich do Zadniego Gierlachu, stawiając słupki graniczne na wierzchołkach. Weszli na Murań nową, bardzo trudną drogą wprost z Międzyścian, a także pokonali — z wieloma przygotowanymi — zachodnią ścianę Łomnicy, drogą również nigdzie nie zanotowaną (?). W ramach prac związanych z pomiarami do wschodniego arkusza mapy fotograficznej umieścili na Nowym pierwszy reper wysokościowy — z napisem „WIG-1939”. — „Młotką używaliśmy rzadko. Ćaki wbijaliśmy kawałkiem skały” — wspomina jeszcze Zubek. — 29 sierpnia przyszedł roz-

kaz wycofania się z grani. Byliśmy właśnie na Zadnim Gierlachu. Zeszliśmy do Zakopanego, a nazajutrz wybuchła wojna...”

Losy wojenne rzuciły Jędrzeja Marusarza na morze, daleko od Tatr. Jego droga do Polski była długa i obfitowała w szereg dramatycznych przygód. Wystarczy stwierdzić, że okręt na którym pływał był trzykrotnie torpedowany.

Choć przewodnictwo było zawodem Andrzeja Marusarza, jego pasję życiową stanowiły przede wszystkim narty. Był on jednym z najbardziej zasłużonych narciarzy polskich, specjalistą w kombinacji klasycznej. Jako członek SN PTT reprezentował nasze barwy dwa razy na igrzyskach olimpijskich (1932 i 1936) i cztery razy na mistrzostwach świata. Jako zawodnik startował do r. 1953, następnie poświęcił się pracy trenerskiej.

Od r. 1930 działał aktywnie w szeregach TOPR, biorąc udział w wielu trudnych wyprawach i akcjach ratunkowych. Jego talent wspinacza uwidocznił się zwłaszcza w r. 1934, w czasie pamiętnej akcji po ciało Birkenmajera na Galerii Gankowej. W tym też roku, dnia 27 marca, na ręce gen. Zaruskiego złożył przyrzeczenie ratownicze. Ostatnią wyprawę ratunkową odbył w r. 1956.

Za wybitne osiągnięcia sportowe otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, Złotą Odznakę PTK, Złotą Odznakę PZN oraz tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu.

*Krysztyna Sałyga*

## WITOLD SZYWAŁA

Dnia 6 maja 1970 r., w czasie odwrotu z Jaskini Śnieżnej, zmarł z wyczerpania Witold Szywała, urodzony 24 marca 1948 r. — członek Akademickiego Klubu Grotołazów przy RU ZSP Politechniki w Gliwicach oraz członek-uczestnik Koła Gliwickiego Klubu Wysokogórskiego. Do AKG wstąpił w grudniu 1966 r., od listopada 1968 r. był członkiem zarządu Klubu.

Uczestniczył w wyprawach m. in. do takich jaskiń, jak: Miętusia Wyżnia, Nad Kotlinami (pierwsze przejście komina nad Sałą z Wanta, współudział w odkryciu tzw. gliwickiego obejścia), Czarna, Zimna, Baradzalaś i Jeleni propast (obie w Krasie Południowo-wosłowackim), Szczelina Chochołowska, Bańdzioch, Ptasia Studnia. Kierował wyprawą do jaskini Dudnicy (pierwsze przejście trzeciego syfonu). W lecie 1968 r. uczestniczył w wyjeździe AKG w Alpy Julijskie, pokonując kilka dróg wspinaczkowych w otoczeniu Doliny Tamaru. Kandydował do tegorocznego wyjazdu AKG w Kaukaz.

Studiował na czwartym roku Wydziału Budownictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach.



Tragiczny wypadek przerwał jego drogę do coraz większych sukcesów jaskiniowych i życiowych w ogóle. Pozostanie w naszej pamięci jako ceniony towarzysz wielu wypraw podziemnych.

*Christian Parma*



## SZYMON ZARYCKI

14 maja 1970 r. zmarł w wieku 76 lat Szymon Zarycki, zwany popularnie „Symkiem“, zasłużony przewodnik tatrzański i ratownik górski. Na liście członków TOPR figuruje on na pozycji 40, z datą zaprzysiężenia 27 marca 1934 r. Na swym koncie zapisał około 40 akcji ratunkowych, uczestniczył m. in. w pamiętnej wyprawie po rannych partyzantów radzieckich w lutym 1945 r. za co otrzymał Złotą Odznakę TPPR.

Szymon Zarycki słynął ze swej bogatej wiedzy górskiej i wielkiego daru opowiadania. Niektóre jego opowieści myśliwskie, nie pozbawione zresztą bogatej fantazji, przejdą chyba kiedyś do literatury tatrzańskiej. Jako cieśla z zawodu (budarz) prowadził „Symek“ budowę schronisk na Hałi Kondratowej i na Ornaku. Dużo pracował też przy budowie ścieżek górskich. Za zasługi w dziedzinie ratownictwa odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką GOPR i Złotą Odznaką PTTK.

W jesieni 1969 r. Szymon Zarycki uczestniczył w wycieczce zorganizowanej przez ratowników tatrzańskich do Doliny Jaworowej. Nie poszedł jednak w góry, siły mu nie pozwoliły. Siedział na ławeczce w Lomnicy Tatrzańskiej, grzejąc się w słońku i patrząc na



ukochane Tatry. „Ostatni chyba raz je widzę z tej strony — mówił — pozwólcie się napatrzeć.“

Wraz z nim odeszła do grobu bogata karta historii tatrzańskiej.

*Krystyna Sałyga*

Zdjęcie Marii Rewaj (przed schronem Prijut Odinadcati w Kaukazie) wykonał *Tadeusz Rewaj*, autorem zdjęć Szymona Zaryckiego i Andrzeja Marusarza jest *Marian Sowa*.

## IAN S. CLOUGH

31 maja 1970 r., w czasie powrotu ekipy, która dokonała rewelacyjnego wejścia na Annapurnę jej ścianą południową, poniósł śmierć w lawinie 33-letni Ian Clough — jeden z czołowych alpinistów brytyjskich, dyrektor Szkoły Sportów Górskich w słynnej szkockiej dolinie Glencoe. Dysponował on blisko 15-letnim doświadczeniem górskim, zdobywym w Alpach, Dolomitach, Andach i Himalajach, doświadczeniem, które przekazał setkom swoim wychowanków. Do czołówek wspinaczy Wielkiej Brytanii wysunął się w zimie 1959 r., otwierając skrajnie trudną drogę zimową w rejonie Ben Nevis — lodowym kominem Point Five Gully. W tym samym roku pokonał w Alpach północną ścianę Aiguille du Chardonet, a w Dolomitach — m. in. wielkie zacięcie Cima Su Alto i direttissimę Cima Grande di Lavaredo. Rok 1961 przyniósł mu direttissimę Cima Ovest di Lavaredo, 28 sierpnia tegoż roku związał się liną z naszym niezapomnianym Jankiem Długoszem, by w dwa dni później święcić na szczycie Mont Blanc — wraz z Ch. Boningtonem i D. Whillansem — triumf pierwszego

przejścia słynnego filara Fréney. Wraz z Boningtonem pokonał też Clough — jako pierwszy zespół brytyjski — północną ścianę Eigeru (1962). Dwukrotnie uczestniczył w wyprawach w Andy Patagonii: podczas pierwszej z nich (1963) zdobyta została środkowa iglica (Central Tower) Paine, podczas drugiej (1967—68), którą sam kierował — turnia Fortress. W r. 1964 Clough debiutował w Himalajach w czasie wyprawy, która wskutek niepogody wycofała się spod szczytu Gaurisan- kar.

Pracę zawodową rozpoczął jako dziennikarz, już jednak podczas służby wojskowej w RAF związał się na trwałe z górami, wstępując do pogotowia górskiego RAF a następnie podejmując pracę instruktorską. Był jednym z nielicznych Anglików, którzy dostąpili zaszczytu członkostwa Scottish Mountaineering Club i godności prowadzenia najlepszej szkoły wspinaczkowej w Szkocji. Dużo pisywał w czasopismach górskich, przez szereg lat był stałym współpracownikiem „Mountain Craft“. Pozostawił córeczkę oraz żonę Niki Clough, również alpinistkę, która w czasie tragicznego wypadku męża przeżywała na wyprawie w Himalajach Kaszmiru.

*Andrzej Kuś*



# Wypadki i ratownictwo

## WYDOBYCIE ZWŁOK W. SZYWAŁY

Akcja wydobywania zwłok Witolda Szywały z Jaskini nad Kotlinami (zob. s. 116) zaplanowana została przez Grupę Tatrzańską GOPR na dni 14—17 lipca 1970 r. Poprzedził ją rekonesans w dniu 15 czerwca oraz wyprawa, której zadaniem było zabezpieczenie zwłok (25, 26 czerwca). W tym też czasie trwały prace mające na celu odkopanie otworu Jaskini Snieżnej, prowadzone przez zakopiańskich grotolazów pod kierownictwem E. Winiarskiego. Wykonali oni bardzo trudne zadanie, za co należą im się słowa uznania.

Okres poprzedzający ostateczną akcję był w Tatrach bezdeszczowy, co gwarantowało niski stan wody pod ziemią. Niestety, w momencie wchodzenia pierwszego zespołu do Jaskini nad Kotlinami zaczął padać deszcz, który padał nieprzerwanie do 19 lipca, komplikując i utrudniając wszystkie poczynania.

Wyprawa przebiegała w sposób następujący: Grupa I (6 osób) kierowana przez E. Strzebońskiego, weszła do Jaskini nad Kotlinami. Jej zadaniem było dotarcie do zwłok, znajdujących się nad 70-metrową studnią, zapakowanie ich i opuszczenie kolejnymi studniami, a następnie — przeniesienie do połączenia z Jaskinią Snieżną. Tam dalszy transport przejęła 7-osobowa grupa II, kierowana przez W. Gąsienicę Roja I. Uczestnicy grupy I wyszli z jaskini z pomocą lin poręczowych i wyciągarki (nad Wielką Studnią), założonych przez grupę III, kierowaną przez J. Uznańskiego.

Po przetransportowaniu zwłok nad Wielką Studnię, na powierzchnię wyszli uczestnicy grupy II zaś grupa J. Uznańskiego dopomogła w transporcie zwłok do śniegu. Do jaskini weszli K. Byrcyn i M. Szczęsny, pomagając w wydobywaniu zwłok pod powierzchnię. W dniu 17 lipca, w godzinach rannych, zwłoki zaklinowały się w ostatnim zacisku, ok. 25 m od wylotu jaskini. Ze względu na zupełne przemoczenie i wyczerpanie wszystkich uczestników wyprawy (bez przerwy ulewnej deszcz), akcję przerwano. Po jednodniowym odpoczynku, przystąpiono 19 lipca do ostatniej fazy akcji. Strumienie wody roztopiły śnieg w zacisku, tak że nie trzeba było poszerzać otworu. Transport odbył się szybko i sprawnie. O godz. 14 zwłoki Witolda Szywały znalazły się na powierzchni.

Ta niewątpliwie bardzo trudna wyprawa nasunęła wiele uwag i wniosków, które jej uczestnicy wymienili bezpośrednio po akcji. Stwierdzono, że wyposażenie szafy wyprawowej Grupy Tatrzańskiej jest niewystarczające. Brak jest przede wszystkim ekwipunku osobistego. Posiadane skafandry poprzecierały się po kilku zjazdach. Brak jest rękawic ochronnych. Latarki czołowe typu „Wonder“ łatwo się psują. Maszynki butanowe nie

zdały egzaminu, gdyż łatwo ulegają uszkodzeniu. Wyciągarki do akcji podziemnych muszą być solidnie wykonane od posiadanych. Dobrze zdały egzamin aparaty telefoniczne „Barbara” — pewne i łatwe w obsłudze. Przy transporcie największe trudności wystąpiły na odcinku od dna „setki“ do połączenia ze Snieżną. Odcinek ten jest znacznie dłuższy i trudniejszy, niż wynika to z planów i opisów. Ze znacznymi trudnościami połączony był też transport po tzw. płytach oraz wydobywanie zwłok nad Wielką Studnię (przewieszka).

Na podkreślenie zasługuje znakomita kondycja fizyczna i psychiczna uczestników wyprawy, w której wzięło udział 47 ratowników, w tym 8 nie będących członkami GOPR. Wszyscy oni złożyli obecnie podania o przyjęcie w poczet członków Grupy Tatrzańskiej.

*Krystyna Salięga*

## WYPADKI W ALPACH SZWAJCARSKICH

Z opublikowanego niedawno komunikatu CAS wynika, że w r. 1969 znów wzrosła liczba śmiertelnych ofiar wypadków górskich na obszarze Szwajcarii. W 109 katastrofach śmierć poniosło 136 osób — o 23 osoby więcej, aniżeli w r. 1968, co zresztą wiąże się niewątpliwie z dalszym przybojem fali turystów w Alpach. Zabijali się głównie mężczyźni (118), i to przede wszystkim młodzi: 31 w wieku do lat 20, 51 między 20 a 30 rokiem życia. Jeśli chodzi o bezpośrednie przyczyny nieszczęść, pierwsze miejsce zajmują odpadnięcia i upadki w terenie skalnym (53 ofiary), dalej idą lawiny (24 ofiary), potem upadki w śniegu lub lodzie (16 ofiar), obsunięcia się na piargach i trawkach (13 ofiar), upadki na szlakach i przy zrywaniu kwiatów (13 ofiar), wreszcie szczeliny lodowcowe (8 ofiar) i zgony z powodu wad serca i wyczerpania. Z ogólnej liczby zabitych — 36 przypada na narciarzy i aż 28 (20 procent!) na ludzi chodzących po górach samotnie. W komunikacie czytamy m. in.: „Trzy czwarte śmiertelnych wypadków górskich dotyczą ludzi nie będących członkami CAS. Jeżeli w pogodny dzień przyjrzeć się krytycznie turystom górskim i poobserwować ich zachowanie, stwierdzić można, ile ludzi potrafią mieć w sobie niewiarygodnej wprost lekkomyślności. Przestaje wówczas dziwić fakt, że mimo wszystkich ostrzeżeń i apeli liczba wypadków górskich nie maleje, lecz utrzymuje się na pewnym stałym poziomie.“

## ŚMIERĆ W SZCZELINIE

W lipcu 1969 r. dwaj turyści górscy szli z Jungfraujoeh w kierunku Konkordiaplatz. W pewnym momencie pierwszy z nich wpadł



na głębokość 4 m do szczeliny lodowcowej, z której partner nie potrafił go o własnych siłach wydobyć. Pomoc przyszła po 30 minutach, było już jednak za późno: wyciągnięty na powierzchnię turysta nie dawał znaków życia, uduszony przez ucisk liny na klatkę piersiową. Przyczyną nieszczęścia było nieumiejętne związanie się zespołu, a także to, że liczył on tylko 2 osoby (trawersowania lodowców winny się zawsze odbywać w zespołach liczebniejszych). „Die Alpen” 7/1970.

## AKCJA NA TRIGLAVIE

Dnia 23 lipca 1970 r. o godz. 19.30 na drodze niemieckiej „krótkiej” jednemu z zespołów grupy wspinaczkowej Sekcji Wysokogórskiej AM z Warszawy (zob. s. 134) przydarzył się nieszczęśliwy wypadek: 4 wyciągi od końca drogi, w nietrudnym terenie (II-III), idący jako pierwszy w zespole Jerzy Burzykowski odpadł od skały z pozornie pewnym blokiem i spadł kilkanaście metrów, doznając złamania lewej ręki oraz skręcenia lewej

nogi. Do rannego doszedł partner (Wiesław Jakubowski) oraz idąca tą samą drogą dwójka M. Jędrzejewska — W. Mąkowski. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy, ok. godz. 20.15 rozpoczęli oni sygnalizację, wypadku. Sygnały zauważono w obozie w dolinie Vrata w pół godziny później i zawiadomiono telefonicznie GRS (Gorską Reśwałną Służbę) w Mojstranie, skąd o godz. 23.45 przybyła grupa 7 ratowników. Trzej z nich wyruszyli natychmiast w ścianę i o godz. 3.45 doszli do wzywających pomocy. Pozostali wraz z czwórką Polaków (J. Brzywczy, M. Gładkowska, J. Lewicki i A. Szczepanik) doszli, niosąc „Marinera”, przez Prag i triglowski lodowiec do końca drogi niemieckiej. Zasadnicza akcja trwała od godz. 5 do 12 i skończyła się na Kredaricy (2515 m). Jeszcze 4 godziny trwał transport rannego drogą turystyczną do doliny Krma, gdzie czekała przysłana przez szpital w Jesenicach taksówka oraz jeep GRS, który ratowników odwiózł do Mojstrany, a Polaków do Vraty.

Niezwykle sprawna akcja przeprowadzona została we wspaniałej atmosferze, za co szczególne słowa uznania należą się świetnym alpinistom — ratownikom GRS.

Jan Łącki

## Sprzęt i ekwipunek

### Co nowego na Foksal?

*Przy ulicy Foksal w Warszawie mieści się od szeregu lat główny magazyn Klubu Wysokogórskiego, a przy nim nasza centralna komórka zajmująca się sprawami sprzętu i wyposażenia taternickiego. Z pytaniem „Co nowego na Foksal?” zwróciliśmy się do przewodniczącego Komisji Sprzętowej ZG KW, Krzysztofa Cieleckiego. Oto jego wypowiedź:*

**Produkcja lin.** Bielskie Zakłady Wytwórcze Lin i Pasów „Bezalin” dostarczyły w r. 1969 na rynek krajowy 300 lin zjazdowych o przekroju 6,5 mm, 300 podciągówek 8-milimetrowych i 200 lin asekuracyjnych o średnicy 10 mm. Plan opracowany na rok bieżący (1970) jest nieco większy: zjazdówek 350, podciągówek 350 oraz lin asekuracyjnych 200. W r. 1971 nasz przemysł ma dostarczyć pierwsze partie technicznego włókna poliestrowego, tzw. torlenu. Włókno to w wielu wskaźnikach przewyższa stosowane obecnie do wyrobu lin włókno poliamidowe (stylon). Charakteryzuje się mniejszą ścieralnością, większą wytrzymałością przy obciążeniach statycznych, mniejszą rozciągliwością oraz większą odpornością na wysokie i niskie temperatury. Bogdan Mac, pracownik Instytutu Włókien Sztucznych w Łodzi podjął się przeprowadzenia prób i konsultacji mających wykazać, jak zachowuje się to włókno przy obciążeniach dynamicznych. Je-

żeli i tu opinia wypadnie pozytywnie, czynione będą starania o zastąpienie przy produkcji lin tradycyjnego stylonu nowym torlenem. Ponieważ na rynek wejdzie on dopiero w roku przyszłym, a zapotrzebowanie na niego jest ogromne, zmiany tej nie należy oczekiwać w najbliższym czasie. Jeśli chodzi o modernizację konstrukcji lin (wyrób lin z rdzeniem), fabryka uzależnia ją od otrzymania nowych maszyn z importu, gdyż przy obecnych urządzeniach nie może się podjąć żadnych dalszych udoskonaleń. Przedstawicielem Klubu Wysokogórskiego przy pertraktacjach z „Bezalinem” jest Jan Weigel.

**Karabinki.** Stanisław Mosica, pracownik Instytutu Lotnictwa w Warszawie, prowadzi rozmowy z Wytwórnią Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku w sprawie podjęcia przez ten zakład produkcji tak poszukiwanych lekkich karabinków. Jeżeli produkcja taka zostałaby uruchomiona, a prognozy są raczej dobre, można by się spodziewać, że będziemy w końcu mieli lekkie karabinki — polskie i na pewno dobre, gdyż zakłady świdnickie cieszą się jako producent precyzyjnych urządzeń technicznych znakomitą opinią.

**Haki, czekany, młotki.** Produkcja krajowych haków taternickich (niezgrabnie nazywanych „taternicznymi”) została przeniesiona z Wrocławskiej Wytwórni Sprzętu Sportowe-



go do Wytwórni Sprzętu Sportowego w Górze Kalwarii, czego przykrą konsekwencją był fakt, że mimo przyjęcia przez Wrocław naszego zamówienia, w r. 1969 nie otrzymaliśmy ani jednego haka, a zamówienie na r. 1970 złożone w Górze Kalwarii zostało odrzucone. Dopiero interwencje w Zjednoczeniu i w samej fabryce spowodowały obietnicę wyprodukowania haków w czwartym kwartale bieżącego roku — niestety już daleko po sezonie letnim. Zakłady w Górze Kalwarii rozbudowują się, jednak z opóźnieniami w stosunku do planu, co powoduje perturbacje w wywiązywaniu się z obietnic i umów. Zapasy odkówek produkowanych przez tę samą wytwórnię czekanów i młotków uległy już wyczerpaniu, co stwarza dogodną sytuację do podjęcia produkcji nowych, ulepszonych modeli. Rozmowy na ten temat są prowadzone ze Zjednoczeniem.

**Raki.** Zakłady podlegające Zjednoczeniu Przemysłu Sprzętu Sportowego nie chcą się podjąć produkcji tego tak ważnego składnika naszego wyposażenia, a to z powodu bardzo wysokich kosztów tzw. oprzyrządowania, wynoszących ok. 200 000 zł. Kłopot polega na tym, że suma ta musi obciążyć produkcję jednego roku — bariera ma więc charakter wyłącznie formalny! Zanim jednak uda się ją pokonać, czynione są starania przez Polski Komitet Olimpijski o sprowadzenie w r. 1971 przynajmniej 100 par raków produkcji radzieckiej. Import ten będzie nie-

stety możliwy tylko wówczas, jeżeli wyrazi na niego zgodę producent w ZSRR.

**Obuwie górskie.** Wałbrzyska Wytwórnia Sprzętu Sportowego wyprodukowała w r. 1969 nieco udoskonalone buty typu „Zawrat”, nazwane „Zawrat II” i charakteryzujące się przede wszystkim zwiększoną trwałością. Plan na r. 1970 przewiduje wyprodukowanie na rynek krajowy 2900 par tego obuwia, tyle bowiem zamówiła sieć handlowa. 1200 par „Zawratów I” pójdzie na eksport do Bułgarii i Rumunii. Wszelkie postulaty na temat jakości butów fabryka uzależnia od otrzymania wyższych jakościowo surowców (skóry) i półfabrykatów (podeszwy wibracyjne, produkowane przez wytwórnię wyrobów gumowych). I na tym odcinku spodziewana jest w najbliższych latach stopniowa poprawa. Wytwórnia Sprzętu Sportowego w Krośnie opracowała model tańszego i lżejszego trzewika wspinaczkowego, nazwanego „Skalki”. Model został sprawdzony praktycznie i uzyskał bardzo wysoką ocenę Komisji Sprzętowej KW. Niestety jednostka nadrzędna, tj. Zjednoczenie Przemysłu Sprzętu Sportowego, odmówiła wyrażenia zgody na podjęcie seryjnej produkcji, motywując swe stanowisko przecięceniem zakładów w Krośnie zobowiązaniami eksportowymi. Wielka szkoda, gdyż trzewik ten miałby również dużą przyszłość jako turystyczne obuwie górskie.

Krzysztof Cielecki

## Z piśmiennictwa

**Tadeusz Rycerski:** Zaproszenie na szlak. Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1969, s. 114. Cena zł 15.

Zachęta do turystyki i zarazem podstawowe wskazówki. Jak ją uprawiać — wszystko razem w formie lekkiej gawędy. Sporo o górach i zachowaniu się w nich. W sumie pozycja niewielka lecz bardzo pożyteczna, a pod względem poziomu opracowania zdecydowanie wyróżniająca się wśród wydawnictw publikowanych z myślą o tym odbiorcy, który dopiero zaczyna uprawiać turystykę. (A. Chow.)

**Mieczysław Orłowicz:** Moje wspomnienia turystyczne. Wybór i opracowanie Wandy Ferens, przedmowa Ryszarda Wrocławskiego. „Ossolineum”, Wrocław 1970, s. 694. Cena zł 125.

W rozwoju turystyki pierwszej połowy XX wieku Mieczysław Orłowicz zaiste *pars magna fuit*. Z tą właśnie dziedziną związane było całe jego długie życie (1881-1959) ponieważ ów „doktor praw” pracy prawniczej omal nie wykonywał. Poświęcił się bez reszty organizowaniu turystyki zbiorowej, a cel swój osiągnął poprzez działalność w najróżniejszych organizacjach społecznych (od AKT we Lwowie, poprzez

PTK, aż po PTTK), dalej przez pracę w dawnym Ministerstwie Robót Publicznych i Ministerstwie Komunikacji, wreszcie poprzez autorstwo kilkuset przewodników i innych publikacji. Pamiętniki obejmują niestety wyłącznie okres do r. 1908; jeśli chodzi o czasy późniejsze, zawierają tylko różnorodne aneksy — śmierć nie pozwoliła już autorowi ukończyć pracy.

Orłowicz wniósł wielki wkład koncepcyjny i organizatorski w rozwój polskiej turystyki, trudno go jednak nazwać pionierem — jak by to mogło wynikać ze wstępu. Rozwijał to, co przed nim stworzyli i pozostawili inni. Zaslugi rzeczywiste są wystarczające i nie trzeba tu tworzyć legend. W całości wspomnień znajdujemy bardzo wiele materiału odnośnie działalności organizacyjnej na obszarach górskich, jak i opisów wycieczek w Beskidy, Tatry (bywał w nich Orłowicz od r. 1893), Karpaty Wschodnie, a nawet Alpy. Autor przekazał nam bogactwo faktów i wrażeń, jakich doznał, trzeba jednak przestrzec czytelników przed bezkrytycznym przyjmowaniem pamiętników za źródło informacji; zbyt wiele w nich błędów powstałych wskutek zawodności pamięci. Przykładowo: przewodnik W. Eljasza nie

miał 11 wydań (s. 111), wycieczki opisanej przez S. Witkiewicza nie zorganizował T. Chałubiński (s. 111), J. Styka nie uczestniczył w malowaniu panoramy Tatr (s. 135), Oesterreichischer Alpenverein powstał w r. 1862, nie był pierwszą organizacją alpinistyczną na świecie (s. 571) itd. itd. Tęgo rzędu pomyłek można nie-istotnie znaleźć wiele i szkoda, że nie zażądano o ich usunięcie, podając pamiętniki recenzji. Czytając to zastrzeżenie, możemy jednak lekturę tę polecić wszystkim, którzy głębiej interesują się historią i rozwojem naszej turystyki. Dobrze się stało, że przybiżono społeczeństwu postać nieprzeciętnej i zasłużonego człowieka, któregośmy wszyscy znający go darzyli głębokim szacunkiem.

Adam Chowański

**Włodzimierz Wnuk:** „Ku Tatom”. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1970; s. 223 + 12 wklepek. Cena zł 35.

Na tom składają się szkice: „Sienkiewicz i górale”, „Zeromski na Podhalu”, „Tetmajer górą”, „Górale Tetmajerowi”, „Pan Korzeń i Zakopane” (o K. Makuszyńskim), „Rozmówcy w gwarze” (o S. Witkiewcu, T. Matejku i M. Pawlikowskim),



„Cicha” (o Kłosowskim) i „Chalupa pod Wykrotem” (o B. Kondratowiczowej). Dużo w tej książce pracowicie zebranych wiadomości, przypomnianych głównie z dawnych czasopism, po części także uzyskanych poprzez osobiste kontakty autora z ludźmi pamiętającymi dawne lata. Bezsporne merytoryczne wartości szkiców nie idą jednak w parze ze stylem publikacji. Wszędzie tam, gdzie autor rezygnuje ze spokojnej, rzeczowej narracji pojawiają się mielizny. Mieszanie sentymentalizmu z biblijnym patosem tworzy okresy o brzmieniu późno-młodopolskim. Wyrażenia typu: „rzeźbiarz z Bożej łaski” (s. 210), „rząd dusz” (s. 220) czy zdanie: „a już wręcz niesamowite sprawiał, na nas, dzieciach wra-

żenie Hadowski z Gładkiej, podobny do proroka o rysach Norwida” (s. 191) — nie przynoszą sławy autorowi piszącemu przecież w drugiej połowie XX wieku. To samo można powiedzieć o zakończeniu esejów o Sienkiewiczu i Tetmajerze. W lukierkowej tonacji utrzymane są również opowieści o Kłosowskim i Kondratowiczowej. W cennej warstwie faktograficznej znalazły się drobne potknięcia. Stęczyński zawsze używał imion Bogusz Zygmunt a nie Bogusław (s. 6), Hasińskowski na chrzcie dano imię Władysław i nie ma potrzeby zmieniać mu imienia na Marian (s. 193), Kondratowiczowa zmarła oczywiście w r. 1949, a nie w 1954.

Michał Jagiello

**Danuta Bieńkowska: Lekarz Starej Warszawy.** Wydanie II. „Czytelnik”, Warszawa 1970; s. 308. Cena zł 21.

Lekko zbeletryzowana biografia Tytusa Chałubińskiego, naszkicowana na szerokim tle społecznym i politycznym epoki. Zgodnie z tytułem książki, autorka skupia się na warszawskim życiu znakomitego lekarza. Okres zakopiański potraktowany jest mniej szczegółowo i oparty na kilku głównie znanych źródłach (głównie pismach i listach Chałubińskiego oraz wspomnieniach B. Rajchmana i A. Świętochłowskiego). Rzucający się w oczy błąd stanowi przypisanie wyścizce z r. 1857 trasy przez Żelazne Wrota (s. 101). (jn)

## Notatki i ciekawostki

### SUDECKIE MISTRZOSTWA NARCIARSKIE KW

W dniu 10 maja 1970 r. pod Łabskim Szczytem przeprowadzono II Narciarskie Mistrzostwa Sudeckie KW. W zawodach wzięli udział reprezentanci kół Wrocławskiego i Sudeckiego oraz Gliwickiego (T. Gibiński). Konkurencją, do której najbardziej przygotowywali się rywale, był slalom gigant. Na trasie długości 1232 m, przy różnicy poziomów 250 m ustawiono 36 bramek. Zgłosiło się 15 zawodników, ukończyło konkurencję 13. Mimo, że dewizą zawodów było hasło „Nie zwycięstwo jest ważne lecz udział w zawodach” zawodnicy wyruszyli na trasę z wielką wolą zwycięstwa, reprezentując w zasadzie dobry poziom sportowy. A oto wyniki sportowe pierwszej dziesiątki:

1. Jerzy Pietkiewicz (Koło Sudeckie) 46,3
2. Aleksander Suchocki (Koło Sudeckie) 47,0
3. Marek Musiał (Koło Wrocławskie) 47,7
4. Antoni Rycher (Koło Sudeckie) 48,0
5. Janusz Fereński (Koło Wrocławskie) 52,0
6. Kazimierz Piotrowski (Koło Wrocławskie) 1;01
7. Henryk Piecuch (Koło Sudeckie) 1;03
8. Wojciech Kołowrocki (Koło Wrocławskie) 1;07
9. Edmund Paluszak (Koło Sudeckie) 1;14
10. Alicja Salników (Koło Wrocławskie) 1;23

Organizatorzy mają nadzieję, że w przyszłym roku w zawodach wezmą udział przedstawiciele i innych kół KW, których corocznie zapraszamy.

Henryk Piecuch

### SPOTKANIE Z W. OSTROWSKIM

15 czerwca 1970 r. w Akademickim Klubie Alpinistycznym Politechniki Warszawskiej odbyło się spotkanie młodych alpinistów i zaproszonych gości z inż. Wiktorem Ostrowskim, bawiącym od kilku miesięcy w Polsce. Prelekcja, poświęcona przeszło 20-letnim wędrówkom po Patagonii i lądolodzie

południowo-amerykańskim, była bogato ilustrowana kolorowymi przezroczkami, prezentującymi egzotyczną florę i faunę tego regionu.

Na zakończenie spotkania został wyświetlony barwny film pt. „Legenda Indian Araukanów”.

A. Stanisławska



Wiadomo nie od dziś, że turystyka górską, racjonalnie uprawiana, pozwala długo zachować zdrowie i wysoką sprawność fizyczną. Pan Hipolit Pietraszkiewicz z Warszawy — urodzony w styczniu 1883 r. — mimo ukończenia 82 lat, rok w rok wędruje z plecakiem po Tatrach, nie stroniąc od skalnych wycieczek w rodzaju Orlej Perci. Latem 1969 r. był m. in. na Krzyżnem i na Kościelecu, przeszedł też Żleb Kulczyńskiego. Tatry poznał od raz pierwszy w r. 1932. Od r. 1909 żył jako wygnaniec polityczny w głębi Rosji carskiej, gdzie miał okazję zwiedzić liczne pasma górskie, m. in. Altaj, Sajany, Ural oraz odnogi Tiań Szania. Zdjęcie przedstawia p. Pietraszkiewicza na szczycie Kościeca we wrześniu 1969 r. — w towarzystwie krytyka filmowego Wacława Świeżyńskiego.

Fot. Alicja Świeżyńska



Tom, volume, Jahrgang: XLVI (1970) Nr 3. Redaktor, editor, rédacteur: Józef Nyka,  
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 41-07-87 (Pologne).

## SUMMARY

World's record in cave climbing — without fixed ropes and artificial aids up from the depth of 640 m ( <i>B. Uchmański</i> )	97
The highest situated lakes in the Tatras ( <i>J. Nyka</i> )	101
Karakoram Expedition, 1969. A Polish four-man party, led by R. Szafirski, received permission for Malubiting West. On October 8 A. Heinrich, A. Kuś and R. Szafirski made an ascent of the unclimbed Malubiting North (6843 m). On October 10 they left camp V intending to attempt the virgin Malubiting West (7453 m). A sudden change in the weather forced the team to retreat. <i>Articles from R. Szafirski, A. Kuś and A. Heinrich</i>	103
The accident in the Nad Kotlinami cave ( <i>Ch. Parma, K. Salyga, B. Uchmański and B. Koisar</i> )	116
Tragedy in the Cordillera Blanca ( <i>J. Jagodziński</i> )	122
Polish mountain summer 1970	124
Caucasus, July 1970 ( <i>S. Worwa, H. Piecuch, A. Laptas, Z. Gerlach and R. Szafirski</i> )	125
ENSA Chamonix 1969 ( <i>T. Laukaitys</i> )	130

New routes in the Alps — 131. Climbing in the Alps — 133. Expeditions — 134. In memoriam — 136. Accidents and mountain rescue — 140. Equipment notes — 141. Books and publications — 142. Information — 123, 143.

## 45 LAT „MUROWAŃCA”

Mały jubileusz obchodziło tego lata jedno z najpopularniejszych schronisk w Polsce — „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej. Zostało ono zbudowane przez Oddział Warszawski PTT — w dużej mierze osobistym wysiłkiem S. Osieckiego, długoletniego prezesa tego oddziału („Taternik” 1/1970 r. s. 36). Projekt opracował Z. Kalinowski, pracami kierował inż. A. Schiele. Budowę rozpoczęto wiosną 1921 r., w r. 1923 ukończono całe mury, ale dopiero latem 1925 r. schronisko było gotowe. Otwarcie nastąpiło w dniu 12 lipca 1925 r. — aktu przecięcia wstęgi dokonał prezydent RP, Stanisław Wojciechowski. W latach 1950—52 schronisko przeszło gruntowną modernizację. W nocy z 5 na 6 grudnia 1963 r. padło pastwą pożaru, po czym zostało odbudowane i w kwietniu 1964 r. ponownie oddane na użytkowanie turystom. Obecnie czeka na nowy remont i rozbudowę według planów do 300 miejsc. (*jn*)

## SKALA TRUDNOŚCI LODOWYCH

45 lat liczy już sobie opracowana przez Willo Welzenbacha skala trudności alpejskich, w oddzielnej tabeli ujmująca również wspinaczki lodowe. Na temat tej drugiej jej części wiele już dyskutowano i wiele wysuwano propozycji. Z interesującą próbą ujednoczenia skali ocen dróg lodowych wystąpił ostatnio Hans Hintermeier („Taternik”

## INHALT

Weltrekord im Höhlenklettern. Vom Endsiphon (—640 m) der Snieżna-Höhle ohne künstliche Hilfsmittel zum Einstieg empor, 1.—5.I.1969. <i>Ergebnisbericht von B. Uchmański</i>	97
Die höchstgelegenen Seen in der Tatra ( <i>J. Nyka</i> )	101
Polnische Karakorum-Kundfahrt, 1969. Erstbesteigung des Malubiting North (6843 m) am 8 Oktober durch A. Heinrich, A. Kuś und R. Szafirski. Der Versuch den Malubiting-Hauptgipfel zu besteigen scheiterte im Schlechtwetter am 10 Oktober knapp vor dem Ziel. <i>Berichte von R. Szafirski, A. Kuś und A. Heinrich</i>	103
Unfall in der Nad Kotlinami-Höhle — Unfallursachen und Vorbeugungsmassnahmen ( <i>Ch. Parma, K. Salyga, B. Uchmański und B. Koisar</i> )	116
Bergtragödie unter dem Huascarán ( <i>J. Jagodziński</i> )	122
Bergsaison 1970 — ein Kurzbericht	124
Kaukasus — Juli 1970 ( <i>S. Worwa, H. Piecuch, A. Laptas, Z. Gerlach and R. Szafirski</i> )	125
ENSA 1969 ( <i>T. Laukaitys</i> )	130

Neue Führen in den Alpen — 131. Alpenfahrten — 133. Expeditionen — 134. In memoriam — 136. Bergunfälle und Bergrettungsdienst — 140. Bergausrüstung — 141. Schriftenschau — 142. Informationen — 123, 143.

4/1969 s. 167), który trudności ścian uzależnia bezpośrednio od stromizny stoku. Oto jego propozycja: I — do 30° nachylenia, II — 40°, III — do 50°, IV — do 60°, V — do 75° i VI — powyżej 75°. Przeliczenie to ma obowiązywać przy optymalnych warunkach lodowych, wielka zmienność tych warunków sprawia jednak, że — jak stwierdza autor nowej skali — bezwzględne oceny dróg prowadzonych w lodzie w ogóle nie są możliwe. „*Bergkamerad*” 7/1970.

## DZIĘKUJEMY

Jak co roku, tak i latem 1970 Redakcja „Taternika” otrzymała liczne dowody miłej pamięci ze strony czytelników i współpracowników w postaci pozdrowień z zagranicznych podróży. Kartki nadesłał m.in.: Janina Zygadlewicz z Kaukazu, Wyprawa STJ z krasu węgierskiego, Toni Hiebeler z Nowego Jorku, Lech Wróblewski z żoną i synem z gór Bułgarii, Kazimierz W. Olech z Kaukazu, Jerzy Michalski z grupą z Chamonix, wyprawa KW do Gruberhornhöhle — z głębokości 830 m, Zbigniew Rubinowski z Kaukazu, Jerzy Wala — po powrocie z Ałma Aty, Ryszard Zawadzki z grupą z Dolomitów, Tadeusz Rewaj z grupą spod Jalovca, Czesław Momatiuk z Grand Teton, Wojciech Jedliński z Pamiru, Jerzy Koźmiński z Tatr Słowackich, Hansjörg Munz z Allgäuer Alpen i Kazimierz Glazek z Małych Karpat. Dziękujemy!





Tatry Wysokie późną jesienią — widok spod szczytu Swinicy. Z lewej Koprowy Wierch (2367 m), Hlińska Turnia (2330 m — za nią w mgłach Szatan, 2416 m), Szczyrbski Szczyt (2385 m), wreszcie mur Hrubego z kulminacją (2428 m) i dobrze widocznym z prawej wcięciem Teriańskiej Przełęczy Niżniej.  
Fot. Józef Nyka

## Taternik

**ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO  
POŚWIĘCONY SPRAWOM  
TATERNICTWA,  
ALPINIZMU I SPELEOLOGII.**

**Redaktor:** Józef Nyka  
Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 13

**Zastępca redaktora:** Jan Staszal  
Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7

**Komitet Redakcyjny:** Ryszard Gradziński,  
Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm,  
Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

**Redaktor graficzny:** Jerzy W. Cieślak

**Adres Redakcji:**

Warszawa 36, ul. Marszałkowska 1 p. 47  
tel. 25-40-41 w. 76.

**Adres Klubu Wysokogórskiego:**

Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439,  
tel. 26-69-56

### WARUNKI PRENUMERATY

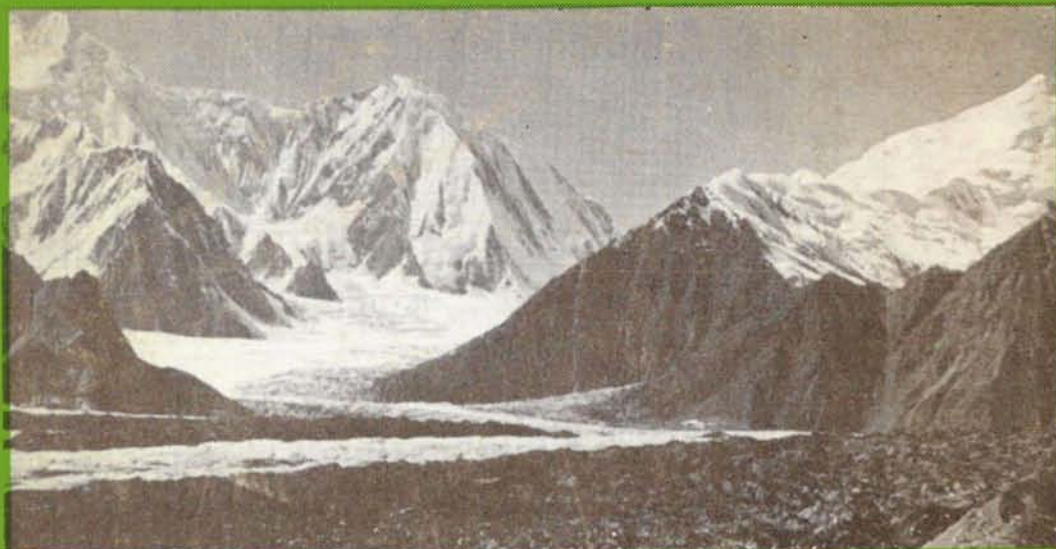
Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą również dokonywać wpłat na konto PKO nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH” — Warszawa, ul. Towarowa 28. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „RUCH”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki zagranicznej, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Prasy i Wydawnictw „RUCH”, Warszawa, ul. Wronia 23 — konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-88. Egzemplarze archiwalne można nabywać (zamawiać) w redakcji, biurze Klubu Wysokogórskiego lub w Punkcie Wysłkowym Prasy Archiwalnej „RUCH” — Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17 na miejscu lub na zamówienie za zaliczeniem pocztowym.

### WYDAWCA:

RSW „Prasa” Wydawnictwo „Prasa Młodzieżowa i Sportowa” — Warszawa 10, ul. Bagatela 14. Telefon dyrektora: 28-09-73. Działu Wydawniczego: 29-35-52. Biuro Ogłoszeń: ul. Mokotowska 24, tel. 21-12-04. Cena ogłoszenia 1 cm<sup>2</sup> zł 10.

PZG. RSW „Prasa”, ul. Smolna 10/12.  
Zam. 1454. K-77.





Otoczenie lodowca Chogolungma – rejon działania polskiej wyprawy w Karakorum. Na zdjęciu: z prawej masyw Spantika (7029 m), w środku Polska Przełęcz (Polan La, 5840 m), z lewej masyw Malubitingu z widocznym w całości Malubitingiem Północnym (6843 m). U dołu szkic okolicy z główną marszrutą wyprawy.

Opracowanie mapki i zdjęcie: Andrzej Kuś.

